

Michael Zwick  
ŻÓŁTA RÓŻA



**Michael Zwick**

**ŻÓŁTA RÓŻA**

*Opowieść kryminalna*

*Przełożyła Maria Sandoz*

*Tekst wg wydania Ilustrowanego Kuryera Codziennego, Kraków 1934*

Ulica de Bivienne w Paryżu wyglądała jak wymarła. Jedyne przed barem nocnym Sanssouci stało kilka taksówek, w których drzemali szoferzy.

Frank Rul nastawił kołnierz płaszcza, zapalił papierosa i wsiadł do auta.

- Ulica Saint George, Hotel Francuski - rzucił szoferowi i opadł na poduszki.

Po licznych cocktailach, które wypił tego wieczora, szumiało mu w głowie. Nieliczni przechodnie wydawali mu się w szarości ranka jak tańczące marionetki.

Przed drzwiami swego pokoju wydobył klucz, wsadził do zamka i chciał przekręcić - na próżno!

Przycisnął klamkę. Ku wielkiemu zdumieniu przekonał się, że drzwi były otwarte.

Na palcach wszedł do pokoju. Spuszczone story nadawały mu ponurej ciemności. Rul zaświecił światło.

Pokój był pusty. Odsunął na bok ciężkie portiery - i tu nie było nikogo. Rzucił płaszcz i kapelusz na oparcie krzesła i obejrzał dokładnie biurko. Dopiero gdy się przekonał, że zamki są w porządku, odetchnął z ulgą.

- Możliwe, rozmyślał, że wychodząc, nie zamknąłem pokoju. Lecz wkrótce odrzucił to przypuszczenie. To wykluczone! W takim razie bowiem klucz tkwiłby w zamku.

Nie szumiało mu już w głowie, jak poprzednio; ta zagadka wytrzeźwiła go zupełnie. Teraz nie wątpił już, że ktoś złożył mu w

mieszkańiu nieoczekiwaną wizytę.

Czuł, jak wielu ludzi wrażliwych, jakiś obcy fluid, jakiś ledwo wyczuwalny zapach obcego ciała.

- Powiedz no - zagadnął chłopca - nie widziałeś dziś w nocy nikogo w pobliżu moich drzwi?

- Nikogo - proszę pana.

- Czy służbę masz całą noc tutaj?

- Tak jest.

- Odejdź - rzucił Rul i zaczął szybko się rozbierać.

Nagle zauważył na dywanie płatek żółtej róży.

Podniósł go i z gorzkim uśmiechem schował do kamizelki.

- Żółta róża! - szepnął do siebie, ostatnia zagadka Paryża!

Już pięciu ludzi otrzymało w ostatnich czasach straszliwe zawiadomienie i wszystkich prędzej czy później spotkała śmierć w okolicznościach tajemniczych. Znajdowano ich uduszonych. Żaden rzeczoznawca nie mógł jednak powiedzieć, w jaki sposób dokonano zbrodni i przy pomocy jakiego narzędzia. Nie było bowiem ani odcisków palców, ani śladów uduszenia stryczkiem. Rul zgasił światło, rzucił się na łóżko i zapadł szybko w ciężki sen.

\* \* \*

Gdy się obudził następnego ranka, sięgnął zaraz po numer Le Matin, który przynoszono mu razem z kawą.

Nie zajął się polityką. Pójdzie ona i beze mnie - pomyślał z drwiącą miną.

Po raz pierwszy był w Paryżu i wydarzenia tego światowego

miasta zajmowały go więcej niż troski Europy. Zwrócił uwagę na jeden niepodpisany artykuł.

Ktoś pisał o żółtej róży, postrachu Paryża.

Nieznany korespondent dowodził:

...zbrodnia nie zawsze jest wynikiem niskich instynktów. Oparta ona jest czasem, a nawet często, na powodach osobistych i posiada jakiś rys idealny, chociażby, to twierdzenie wyglądało dziwnie. Wszak znamy z historii wiele przykładów, że mordów politycznych dokonywali nieraz ludzie porządni, jedynie w celu uwolnienia swoich współbraci spod ciemiejących rządów. Czyż nie oddawali się nieraz sami w ręce sprawiedliwości, jak to uczynił nasz Zbawiciel? Znamy również mordy religijne, kiedy morderca wierzył w swoim fanatyzmie w ulżenie całej ludzkości i zbliżenie jej do Boga. Czy możemy w końcu nazwać mordercami zawiedzionych w miłości, którzy nie mogliby żyć dalej nie na napiętnowawszy zdrady? Jednakże moi przeciwnicy mogliby mi zaprzeczyć, że „Żółta róża” nie tylko morduje, ale i grabi. Ale czyż zapał dla wytkniętego idealnego celu nie żąda często krwawych ofiar? Przyznaję, że „Żółta róża” jest mordercą, ale bądźmy sprawiedliwi: ten morderca imponuje. W całej okropności kieruje nim romantyczność. Weźmy jako przykład jego dary kwiatowe lub fakt, że nie rozlał jeszcze ani kropli krwi. Kto wie, jakim celom służą jego czyny? Może jest poetą okrucieństwa, i tacy muszą istnieć. Czyż śmierć nie ma swoich powabów jak i życie?

Może nigdy nie chwycą mordercy, który zdaje się być zbyt inteligentny. Może nie chwycą go dlatego, że pewnego dnia zmęczony

życiem, sam się z nim rozprawi.

Wówczas nikt się nie dowie, co widziały jego oczy, czego dokonały zmartwiały już ręce.

Może zniknie w sposób równie tajemniczy, jak się zjawił, aby z dala od ludzi dokonać dziwnego bilansu swego życia...

Rul zaśmiał się. Ten autor wie więcej o Żółtej róży niż inni - pomyślał.

Długo siedział bez ruchu nad gazetą. Potem ubrał się szybko i pojechał do redakcji Le Matina.

- Prosiłbym - zwrócił się do jednego z redaktorów o nazwisko autora tego artykułu - i wskazał palcem wiersze o Żółtej róży.

- Żałuję bardzo - odpowiedział redaktor - zdaje się, że pan nie zna zwyczajów redakcyjnych. Nie wolno nam zdradzać incognita autora, który sobie tego nie życzy. Zresztą mogę pana zapewnić, że my sami nie wiemy, kim on jest.

- Czyż to możliwe? - zawahał się Rul.

- Ależ naturalnie! Artykuł, który dostaliśmy wczoraj, jest aktualny. Napisany jest gładko i jeśli nawet myśl autora jest nieco oryginalna, wielu słusznym uwagom nie da się zaprzeczyć. Jako dowód, jakie zainteresowanie wzbudził zamieszczony przez nas artykuł, może pan stwierdzić niezliczone telefoniczne zapytania, które ciągle otrzymujemy od rana. Widzi pan zatem, że wiemy dobrze, co należy drukować - dorzucił z pewnym siebie uśmiechem. Jeśli kiedykolwiek autor się zgłosi, zapłacimy mu najchętniej za jego trud.

- Autor nigdy nie zgłosi się po honorarium - zawołał Rul tonem

pełnym energii, potem odwrócił się od zdumionego redaktora i opuścił salę.

Zaledwie się oddalił, do redakcji weszła elegancka dama rzadkiej piękności.

- Przepraszam pana, że przeszkadzam, muszę jednak koniecznie wiedzieć, o czym mówił ten pan, który właśnie wyszedł.

- Ależ pani...

- Proszę wybaczyć - przerwała mu wzburzona - dla mnie to pytanie wielkiej wagi. Zauważyłam, że ten pan był bardzo błądy i skierował się prosto do urzędu telegraficznego. Czy nie pytał przypadkiem kto jest autorem artykułu o Żółtej róży?

- Skąd pani to wie? - pytał zdumiony redaktor.

- To już inna sprawa. Ale mam rację, czy nie?

- Tak, ma pani rację?. I to mi się zdawało szczególnie podejrzane, że ten pan podkreślił, że autor nigdy nie zapyta o honorarium.

- Dziękuję najuprzejmiej - powiedziała dama, znikając.

\* \* \*

Po nadaniu telegramu udał się Rul do małej kawiarenki Bonvivant. Było tu cicho, grube dywany tłumiły odgłos kroków gości. W wygodnym krześle obok dużej chińskiej wazy porcelanowej można było wypocząć doskonale, oderwawszy się od odgłosów wielkiego miasta.

Długo siedział tu pogrążony w myślach. Wreszcie poczuł na sobie czyjś wzrok. Odwrócił głowę i zobaczył naprzeciw młodą

osobę, jedno z tych uroczych stworzeń, które widuje się tak rzadko, a jeszcze rzadziej poznaje się osobiście. Gdy spojrzenia ich się spotkały, nie odwróciła głowy. Myślał już, że ma do czynienia z jedną z tych wesołych dziewczynek, które już o tak wczesnej porze szukają znajomości. Ale nie! Znał kobiety zbyt dobrze, by dłużej żywić to przypuszczenie... Z pewnością coś się jej przywidziało i bierze mnie za kogoś znajomego. Znowu pograżył się w myślach. Jednak wzrok nieznanemu stawał się coraz przenikliwszy, a oczy jej były tak fascynujące, że chyba asceta nie zwróciłby ku nim głowy. Uśmiechnął się znów do niej. Lecz nie reagowała i pozostała poważna.

Przejmujący zapach perfum dolatywał od niej.

- Czy pani pozwoli - zaczął nieśmiało.

- Nie, nie pozwolę - odrzekła zimno.

- Proszę wybaczyć, ale pani obserwuje mnie już przez czas dłuższy - rzekł speszony Rul, nie oczekujący takiej odpowiedzi - musiałem więc przypuszczać...

- Pan się myli, mój panie! Patrzyłam na tę chińską wazę. Jest mi pan zupełnie obojętny - odrzekła, wyjmując papierosa z małego złotego etui.

Rul podał jej z szacunkiem płonąca zapalniczkę.

- Może pani pozwoli mi teraz zająć miejsce obok?

- Po co właściwie?

- Na wypadek, że będę mógł pani wyświadczyć i inne usługi.

Czy może być coś miłszego jak usłużenie tak pięknej pani?

Uśmiechnęła się po raz pierwszy. Rul przyjął ten uśmiech jako



pozwolenie zajęcia miejsca obok.

Przedstawił się i przysiadł.

- Czy pani jest cudzoziemką?

- Czy nie uważa pan, że to pytanie jest nudne?

Teraz brakuje tylko, żeby pan zaczął mówić o pogodzie. Będę się czuła jak u fryzjera.

Rul tak się spieszył jej odpowiedzią, że zamilkł na chwilę.

Po dłuższym namyśle rzekł: - Wie pani, dla lokomotywy najtrudniej jest wyprowadzić pociąg z martwego punktu i wprowadzić go w ruch. Gdy to się stanie, koła toczą się prawie samo.

- Czy panu tak bardzo zależy na tym, by się toczyły kółka? - spytała.

Spojrzał z zachwytem w jej oczy, potem wzrok jego ześlizgnął się po jej pięknej twarzy, wreszcie po ręce spoczywającej na kolanach.

- Tak, bardzo... - odpowiedział.

Zaśmiała się cicho. A jemu zdawało się w tej chwili, że nigdy w życiu nie słyszał takiego śmiechu.

Głos jej miał całkiem niezwykły dźwięk. Działał podniecająco i przebiegł mu po krzyżach miłym dreszczem.

- Ma pan dzisiejszy numer Matina? - zapytała nagle, wskazując głową na jego kieszeń, z której wystawał dziennik.

- Tak, pani - i podał jej gazetę.

Przebiegła kolumny, aż wzrok jej zatrzymał się na artykule Żółtej róży. Podczas gdy czytała, Rul patrzył na jej jak rzeźbiony profil, na pierś oddychającą miarowo, i wszystkie dzienniki świata

były mu w tej chwili podziwu najzupełniej obojętne.

- Ta Żółta róża to całkiem niezwykle zjawisko, prawda? -  
Patrzyła na niego badawczo, nieco niespokojnie.

- Tak, śledzi pani tę sprawę?

- O tyle, o ile kobieta w ogóle ma zrozumienie i zainteresowanie dla kryminalistyki. A co pan o tym myśli?

- O pani, ja jestem tak szczęśliwy, że mogę być z panią, nie chciałbym więc tej pięknej godziny zaciemniać ponurymi tematami. Kto wie, czy spotkamy się kiedy jeszcze?

- Chciałby mnie pan jeszcze zobaczyć?

- Czyż istnieją dwie odpowiedzi na to pytanie?

- Dobrze - odrzekła - a zatem dziś wieczór w Armenovile.

- Czy wolno mi spytać z kim mam zaszczyt?

- Gaby van Lind.

- Czy mogę panią odprowadzić?

- Teraz nie.

- Widocznie jakiś dyskretny spacer... - rzekł Rul speszony.

- Może... - Podała mu rękę i opuściła kawiarnię.

Ciekawe - myślał Rul - dlaczego nie pozwoliła się odprowadzić?

Sam nie wiedział o tym, że obudziła się w nim zazdrość. Chwycił kapelusz, rzucił na stół monetę i wybiegł na ulicę.

Zauważył ją od razu w tłumie. Niepostrzeżenie szedł za nią.

Z pewnością na rendez-vous - usiłował odgadnąć. Byłby wolał nie mieć słuszności.

Nagle zatrzymała się przed przekupką kwiatów.

Oglądnęła się dyskretnie, potem kupiła żółtą różę i poszła dalej. Rul wstrząsnął się z wrażenia. Kupiła żółtą różę? Teraz, gdy świeżo przeczytała Matina! Był zupełnie ogłuszony tym odkryciem. Gdy wreszcie przyszedł do siebie, nie mógł jej już odnaleźć w tłumie ludzkim.

\* \* \*

Pani Durand, która wynajmowała w dzielnicy Montmartre małe, kiepsko umeblowane pokoiki, zebrała całą swą odwagę i zapukała do drzwi swego lokatora. Drzwi te znajdowały się przy krętych schodach drewnianych. Zamiast biletu przyklepiona była na nich kartka, na której ostrym pismem naszkicowano słowa: Kto nie jest proszony, nie znajdzie mnie w domu.

Pani Durand od wielu już lat wynajmowała pokoje.

Przed jej małymi, zielonymi, kłującymi oczkami przesunęła się cała rewia ludzi rozmaitego wieku i zawodu. Ale nigdy jeszcze nie doświadczała takiego lęku jak przed tym dziwadłem, które wprowadziło się niedawno.

Gdy na pierwsze pukanie nikt się nie odezwał, zastukała znowu. Teraz usłyszała za drzwiami niezadowolone prychnanie i ciche klęcie.

- Kogo znowu diabeł niesie! - wybuchnął nagle głos zza drzwi. Potem nagle rozwarły się szeroko. Na progu stanął mężczyzna niskiego wzrostu z długimi czarnymi włosami, spadającymi na uszy i dziwnymi oczami. Kapelusz o szerokim rondzie nacisnął głęboko na oczy, a na jego szczudlastych ramionach powiewała jak na szaragach szeroka peleryna. Widocznie miał zamiar wyjść. Gdy rozpoznał

gospodynię, blada jego twarz przeciągnęła się grymasem pełnym niezadowolenia, jak gdyby ukąsił cytrynę, i ruchem głowy wskazał jej pokój.

- Czym mogę służyć pani Durand? - spytał, rzucając ostrym spojrzeniem.

- Dziś już ósmy, chciałabym dostać mój czynsz.

- Pani Durand, gdyby pani była sprytniejsza, nie zamęczałaby mnie pani pytaniami o pieniądze, lecz czekałaby pani cierpliwie aż nadejdzie ten dzień, kiedy, moje nazwisko będzie na ustach całego Paryża.

Ooooch, ooooch! - dodał patetycznie, wznosząc ręce do góry. - Ten dzień będzie dniem mego zwycięstwa.

A do moich kieszeni wpłynie tyle złota, że zapłacę pani za rok naprzód. Zrozumiano? Jeśli w ogóle zostanie wówczas w pani dziurze.

- Rzucił pogardliwe spojrzenie na mizerne łóżko, zbite lustro i krzywą komodę.

- Ależ panie! Każdy człowiek wierzy, w jakiś swój szczęśliwy dzień, który przyjść musi. Lecz spełnia się to rzadko. Na pańskich nadziejach nie mogę opierać mego gospodarstwa.

Przybliżył usta do jej ucha i szeptał: - Porównuje mnie pani z innymi? Inni są niczym, prochem na asfaltach Paryża. Ja jestem geniuszem, rozumie pani?

- Pan jest geniuszem? Także to zdaje się każdemu.

- Tak? Każdemu? Ale w moich rękach znajdują się nici losów wielu. I pewnego pięknego dnia wyciągnę z tej gmatwaniny potrzebną

nitkę na przekór prefektowi i całej Francji. Stanie się to wcześniej niż pani przypuszcza, madame Durand.

Stała przed nim, nie rozumiejąc właściwie o czym mówił. Przed niesamowitym mamrotaniem tego człowieka ogarniała ją nieopanowana trwoga. Nie umiała mu odpowiedzieć, gdyż słowa jego miały jakąś dziwną siłę sugestywną, której nie mogła się oprzeć.

Nie ponowiła już swojej prośby o pieniądze i wysunęła się cicho z pokoju. Jej lokator zaś wyciągnął z kieszeni numer Matina i zagłębił się w artykule o Żółtej róży.

\* \* \*

- Czy pan Livarie? - zapytał wchodząc słuszny mężczyzna z mocno opaloną twarzą.

- Tak jest, do usług.

- Miło mi bardzo pana poznać. Przy całym szacunku, jaki mam dla dyskrecji pańskiej firmy, uważam jednak, że biuro jest najniekorzystniejszym miejscem dla omawiania ważnych interesów, szczególnie tych, które są w toku. Trudno sobie inaczej wytłumaczyć, dlaczego urzędnicy tak wspaniale są zawsze poinformowani, z kim ich szef spędził wieczór.

Obaj roześmiali się głośno, opuszczając dom.

Mała separotka, wyściełona zielonym suknem i oświetlona dyskretnym bocznym światłem, była doskonałym locum dla poufnych rozmów. Kelner przyniósł wino, homary i owoce, po czym zamknął za sobą bezszelestnie drzwi.

- Widzi pan, panie Livarie, przechodzę zaraz do rzeczy -

rozpoczął jego gość i utkwiał badawcze spojrzenie w jego oczach. - Pańska fabryka perfum ma ogromną przyszłość. Jednak pańska Coty nie osiągnie nigdy pełnego sukcesu, gdyż temu przedsięwzięciu brakuje pędu do wielkości. W dzisiejszych czasach musimy brać wszyscy rozmach amerykański, zwłaszcza w dziedzinie interesów.

Potrzeba nam więcej tempa w działaniu. Duża firma musi mieć poza tym rozgłos, musi się reklamować, wszyscy muszą o niej mówić. Ma pan w Banku Francuskim około trzech milionów czterystu tysięcy franków gotówki. Lecz ta suma nie posiada ekspansji zewnętrznej. W sferach giełdowych nie wiedzą o tym poważnym kapitale więcej niż o zawartości mojej kieszonki od kamizelki. Musi pan stworzyć towarzystwo akcyjne. Muszą o panu pisać i mówić.

- Jak pan sobie to przedstawia? - zapytał Livarie.

- Powinien pan podjąć pieniądze w Banku Francuskim i moim zdaniem przekazać do prywatnego banku Aliance w Marsyli. Tam otrzyma pan nieoficjalnie o dwa procent więcej. Prócz tego jestem pewien, że bank ten kupi pańskie akcje; przy takim przedsiębiorstwie jak pańskie, nie powinno być z tym trudności. A co najważniejsze: podjęcie pańskiej sumy z Banku Francuskiego zwróci na pana uwagę dyrekcji.

Rozpoczną komentować pańskie tajemnicze pociągnięcia. Zaczną kombinować, co pan zrobi ze swoją gotówką. Potem pojawią się w gazetach notatki, że firma Livarie się powiększa i że zagranica okazuje dla niej duże zainteresowanie. Zobaczy pan, jak szybko stanie się pan popularny i jak wielki zbył osiągną pańskie fabrykaty już po

kilku tygodniach.

Livarie z zainteresowaniem słuchał nowego znajomego.

- Tak, ma pan słuszość. Widzę, że pozostałem nieco w tyle w tempie nowoczesnego życia. Ale pozwolę sobie na pytanie, jaki jest pański interes w tej kombinacji?

- Jak tylko bank Aliance zdeklaruje się z przystąpieniem do towarzystwa akcyjnego, będę kupcem na pańskie akcje. Szukam dobrej lokaty dla mego dużego kapitału leżącego do dyspozycji i chciałbym mieć udział w pańskim solidnym przedsiębiorstwie. Jeśliby bank Aliance zawiódł pana i nie przystąpił według mego projektu do towarzystwa akcyjnego, to nic stoi nic na przeszkodzie oddaniu pieniędzy z powrotem do Banku Francuskiego.

- Projekt pana mi się podoba.

- No widzi pan! Tylko o jedno chciałbym pana prosić... Moje nazwisko musi na razie pozostać nieznane. Jest to tym bardziej zrozumiałe, że nikt mnie i tak nie zna w tutejszych kołach fabrycznych.

- Ależ naturalnie - przystał Livarie.

Po opróżnieniu kilku flaszek szampana dwaj panowie rozstali się w przyjaźni.

\* \* \*

W pawilonie Armenovile, leżącym nad wodą, prawie wszystkie stoliki były zajęte.

Frank Rul, ciekawy typ o postawnej figurze, szerokich ramionach, energicznej opalanej twarzy, ciemnych włosach i głęboko

osadzonych szarych oczach, budził tego wieczoru powszechną uwagę.

- Stolik zarezerwowany - rzekł uśmiechając się uprzejmie starszy kelner i poprowadził go po dywanie ku niezajętemu stolikowi. Rul usiadł i krytycznie przypatrywał się stojącym nań kwiatom, które dziś rano zamówił telefonicznie.

Czerwone goździki w ciemnobłękitnej wazie wydały mu się nagle nieładne. Nie mógł zrozumieć, że sam je zamówił.

Skinął na kelnera.

- Proszę zabrać te kwiaty, a przynieść róże - rozkazał.

- Białe proszę pana, czy...

- Żółte - przerwał Rul i pogrążył się w karcie win.

Nie zauważył wcale kiedy wyciągnęła się ku niemu dłoń kobieca, opięta w czarną rękawiczkę.

- Oh, Gaby - rzekł ucieszony.

- Odkąd jestem dla pana Gaby, panie Rul? - odpowiedziała chłodno.

- Gdy kobieta jest tak piękna jak pani, można ją nazywać tylko imieniem, tak jak kwiaty albo... świętych... - dodał cicho.

Zajęła miejsce naprzeciw i ściągnęła z rasowych rączek rękawiczki z gracją właściwą kobietom wielkiego miasta. Potem energicznym ruchem zdjęła z gęstych włosów małą ciemnobłękitną czapczkę. Włosy miały barwę świeżego miodu z lekkim miedzianym połyskiem. Położyła czapczkę wraz z rękawiczkami przy flakonie i teraz dopiero zauważyła kwiaty.

- Pan jest bardzo uprzejmy... panie...



- Frank - dodał nieco urażony.

- I akurat żółte róże - rzekła z ledwo wyczuwalną ironią.

- Nie lubi pani?

- O lubię, Żółte róże przypominają mi nieszczęśliwe kobiety, zwiędłe z miłości bez wzajemności, a także...

- I co jeszcze? - przerwał jej niecierpliwie.

- I tego tajemniczego mordercę...

Kelner zjawił się z winem. Rul podał swej damie spis potraw i podczas gdy go przeglądała studiował ją uważnie.

- Jak piękne jest życie, które stwarza takie kobiety, jak pani, Gaby! Niebo, nabite gwiazdami, melodie skrzypiec, tyle cudownych rzeczy! - rzekł Rul. Był typem marzycielskim, a ten cichy, ciepły wieczór sierpniowy u boku pięknej towarzyszki nastrajał go specjalnie.

Wziął jej rękę:

- Gaby!

Spojrzała na niego z wyrzutem, jak na niegrzeczne dziecko, które pozwala sobie za dużo. Oczy jej były poważne, ale usta uśmiechały się i wabiły lśniąca białością zębów.

Wysunęła rękę, po czym wyjęła z wazy różę na długiej łodydze. Śledził każdy jej ruch. Wzrok jego zatrzymał się uparcie na opalonej, wysportowanej ręce.

Na małym palcu błyszczał jak kropla krwi wielki rubin.

- Prawie się nie znamy - rzekła po długim milczeniu z cichym uśmiechem.

- Czy jest pani przekonana, że jej nie znam, Gaby?

- Wie pan o mnie tylko tyle, ile panu powiedziałam. -  
Odpowiedź jej była nieprzychylna, a ramiona wzruszyły się pogardliwie.

- Myśli pani? Wiem więcej.

- Na przykład? - Jej brązowe oczy, w których jak u dzikiego kota migwały małe iskierki, stały się czarne i kłujące.

- Wiem, że ma pani ramiona, jakich nie widziałem jeszcze u żadnej kobiety. Skórę ma pani, Gaby, czasem matową i różową jak zachód słońca, czasem błyszczącą radośnie jak świetlisty ranek. Wiem jeszcze więcej, Gaby! Na twojej piersi byłoby tak lekko, tak słodko umierać. Przyjąłbym śmierć w ramionach pani jak cenny dar niebios. Kroki pani są elastyczne i podobne krokom zwinnych Egipcjanek niosących do domu na głowach dzbany pełne wody z Nilu, albo ruchom tancerek wschodnich...

- Panie Rul - przerwała mu głośno - teraz już dosyć!

I znowu oczy jej były surowe, podczas gdy usta się śmiały. Czowała się pochlebiona i nieomal wesoła, że pomyliła mu szyki.

Rul zamilkł i duszkiem wychylił wino.

- Wie pani, Gaby - odezwał się po dłuższym milczeniu -  
dzisiejszej nocy znalazłem w moim pokoju płatek żółtej róży.

Roześmiała się nerwowo.

- I cóż to ma znaczyć?

- Że nie pożyczę już długo.

- I dlatego postawił mi pan dziś na stole żółte róże? - Głos jej

drżał nieznacznie. - Co pan myśli o tym mordercy!

- Jest genialny. A jeśli nie uda się unieszkodliwić go w krótkim czasie, to...

- To? - przerwała.

- To krematorium dostanie jeszcze kilku klientów, a któryś z banków zagranicznych nie będzie się mógł uskarżać na brak gotówki.

- Myśli pan, że go złapią?

Zamiast odpowiedzi zapalił Rul krótką fajeczkę.

- No? - spytała, uderzając go lekko różą po rękę.

- Nie wiem, Gaby - rzekł wreszcie zimno. - Czasem i najtęższa głowa postrada zmysły. Całym nieszczęściem jest to, że nie umieją się w czas opanować. Płynące im złoto hipnotyzuje ich, nie wypuszcza z kręgu swego czasu, trzyma ich w ciągłym transie. W transie tym bujają w obłokach, dopóki nie wpadną w ręce policji.

Orkiestra rozpoczęła ostatni numer programu.

Melodia perliła się jak szampan, pełna ognia, wprawiając krew w żyłach w szybszy ruch.

- Zostawmy ten temat, chodźmy tańczyć - rzekła Gaby wesoło.

-

Dobrze, na Monmartre - podjął uszczęśliwiony.

Potaknęła głową.

W taksówce nachylił się blisko do jej ucha i szepnął:

- Gaby, dlaczego zostawiłaś żółte róże na stole?

\* \* \*

Tancerka Julia z małego Cabaret Intime skończyła właśnie swój

numer i skierowała się do garderoby. Przy jej stole czekał na nią impresario.

- Julio - rzekł tajemniczo - mam dla ciebie nadzwyczajną okazję.

- Dawać ją! - rzuciła wesoło, ściągając zręcznie przez głowę cieniutką sukienkę jedwabną.

- W loży siedzi jeden pan, powiadam ci: worek złota. Prosi cię na kolację.

- Dobrze, ale musisz pod jakimkolwiek pozorem usunąć ze sali Jana. Jego zazdrość dogryzła mi do żywego. To indywiduum zepsuje mi cały interes.

- Nie bój się, już ja go uspokoję - rzekł impresario z cynicznym uśmiechem. Zrobił parę kroków ku drzwiom, lecz zawrócił jeszcze.

- Julio, jeżeli znowu mnie okpisz i nic mi za to nie dasz, to na przyszłość wyszukuj sobie kawalerów.

Przyznasz sama, że czarna Marion także nie jest z papieru...

- Dobrze! - uspokoiła go i udała się do loży.

Gdy odsunęła na bok czarną portierę, dojrzała w półcieniu śnieżnobiałą koszulę frakową i dwoje czarnych oczu w siebie utkwionych.

Pod wpływem tego hipnotyzującego wzroku zrobiło jej się nieswojo. Lecz po kilku szklankach wina i wesołych żartach gościa wróciła jej beztraska swoboda.

- Panienska tańczy bardzo ładnie - zauważył gość.

- Dziękuję za komplement - odparta kokieteryjnie.

- Tańczy pani co wieczora?

- Tak.

- Za jakie honorarium, jeśli wolno spytać?

- Ależ panie, na ten temat nie lubię rozmawiać z gośćmi.

- Ze mną może pani mówić o wszystkim. Przecież pani nie ma pojęcia dlaczego pytam o to.

Z pewnością firma konkurencyjna - pomyślała uradowana Julia i nie drgnąwszy powieką, rąbnęła: - Sto franków za wieczór.

Gość uśmiechnął się niedowierzająco. Lecz po chwili oblicze jego przybrało znów dobrotliwy wyraz.

- Hm... Sto franków. No, a jeśliby pani w dwóch dniach mogła zarobić trzy razy tyle? - spytał.

- Tańcem?

- O, nie, to mi niepotrzebne. Zadaniem pani byłoby odbyć miłą podróż do Marsyli z pewnym panem, który się nudzi. Oczywiście sleeping, pierwsza klasa...

- Z panem?

- Nie, z jednym z moich znajomych. Ma tam zajęcie na dwa dni i zależy mu na tym, by się pokazać w towarzystwie damy.

- Ale dlaczego? - pytała zdziwiona Julia.

- Ach dziecko, pani wielu rzeczy nie pojmie. Są momenty w życiu mężczyzny, w których zyskuje przez obecność kobiet. Zwłaszcza jeżeli jest pięknie ubrana, najlepiej w żałobie.

- W żałobie?!

- No, tak. Czy sądzi pani panno Julio, że pani półświatkowe kreacje są tak bardzo warte kredytu? - spytał kpiąco.

- Trudno powiedzieć, żeby pan był zbyt uprzejmy, zauważyła urażona.

- Wy kobiety jesteście dziwnymi stworzeniami - rzekł gość jakby do siebie, widocznie w myślach pogrążony. - Wolicie pięknie powiedziany banał, niż szczerą a nawet brutalną prawdę. No i co - zwrócił się do Juli - pojedzie pani czy nie? Chce pani zarobić w dwóch dniach pięćset franków, czy ma pani tyle pieniędzy, że z tego zrezygnuje? Ja z pewnością znajdę kogoś w Paryżu, kto z radością się zgodzi.

Nie czekając na jej odpowiedź wyjął z kieszeni banknot pięćsetfrankowy i podał jej. Gdy jednak chciała go odebrać, ku jej przerażeniu, przedarł go na pół.

- Co pan robi? - krzyknęła głośno.

- Nic, panno Julio. To tylko mała gwarancja, że pani zjawi się punktualnie na pociąg. I z całym spokojem włożył drugą połówkę banknotu do kieszeni kamizelki.

- Szatan z pana - rzekła pół serio, pół żartem.

- Może, drogie dziecko, jestem o wiele gorszy, niż myślisz - odrzekł z westchnieniem i zadumał się.

Długo siedział milcząc. Wreszcie wstał i podał Juli rękę.

- Sprawa załatwiona. Jutro o pierwszej w nocy przy głównym wejściu na dworcu. Bilety będą już kupione.

- Ależ ja nie znam tego pana, z którym mam podróżować! - broniła się.

- On za to zna panią - odrzekł krótko i nie rzuciwszy na nią ani

spojrzenia, opuścił łóżę.

\* \* \*

Livarie spieszył się do Moulin Rouge. Przy wejściu czekała na niego słuszna, wytworna dama w płaszczu z czarnej błyszczącej skóry. Cień nastawionego parasola padał na jej twarz.

- Czy pan Livarie? - spytała.

- Tak pani.

- Jestem bardzo panu wdzięczna, że pan przyszedł. Proszę za mną. - I poprowadziła go do małej restauracyjki w pobliżu Moulin Rouge. Zajęli miejsca.

- Panie Livarie, zanim przejdę do właściwego tematu naszej rozmowy, muszę panu postawić parę warunków.

- Przepraszam panią - przerwał Livarie zażenowany. Nie mogę zupełnie pojąć co się dzieje wokoło mnie w ostatnich czasach. Kim pani jest i do czego mnie pani potrzebuje?

- O tym właśnie chcę mówić z panem. Na pierwsze pytanie nie widzę potrzeby odpowiadać, gdyż moje imię nie gra tu absolutnie żadnej roli. Co do drugiego pytania, rada bym wiedzieć, czy pan w ostatnich czasach odwiedzał niejakiego pana Rula.

- Nie pani.

- Proszę wybaczyć, ale to się nie zgadza. Sama widziałam kilka razy, jak wchodził do pańskiego biura.

Jest to słuszny Anglik z krótką fajeczką.

- Ależ ten się nazywa Watson - rzekł Livarie.

- Dobrze, niech będzie Watson - przystała. - Czego chciał od

pana?

- Przepraszam - zerwał się Livarie - ale pani nie może wymagać, żebym w moje interesy wciągał osoby trzecie!

- Nawet wtedy, jeżeli moje pytanie leży w interesie pana?

- Pani, jestem dość samodzielny, by poprowadzić moje interesy bez pomocy.

- Muszę się przyznać, panie Livarie, że nie spodziewałam się natrafić na taki sprzeciw ze strony pana; gdy chcę jak najlepiej!

- Znamy się tak mało, że pani nie ma powodów dobrze mi życzyć. Chcę mieć spokój - dodał - zwłaszcza od obcych ludzi.

- Pytam pana raz jeszcze: o czym mówił z panem pan Watson?

Zamiast odpowiedzi zerwał się. Dama była mocno zmieszana. Nie przypuszczała tak katastrofalnego przebiegu rozmowy. Nie pozostawało jej nic innego jak zabrać się również do wyjścia.

- Spodziewam się, że jest pan gentlemanem i odprowadzi mnie?

Livarie przytaknął z niezadowoleniem. Te tajemnicze spotkania z nieznanymi w ostatnich czasach i te dwuznaczniki nie odpowiadały absolutnie jego solidnemu charakterowi. W aucie milczeli oboje. Nagle kazała stanąć, wysiadła i skierowała się do przekupki z kwiatami.

Potem zawróciła.

- Oby pan nie żałował, że nie chciał pan być ze mną szczerzy dzisiaj wieczora - rzuciła, nie wsiadając do auta.

- Przypuszczam, że nie.

Szybkim ruchem podała mu żółtą różę.



- Proszę pamiętać o mnie i o Żółtej róży - powiedziała, zatraskując drzwi.

\* \* \*

Komisarz policji Chevalier zdjął wśród przekleństw słuchawkę telefonu.

- Halo. U mnie jest teraz noc. Choćby mi Wieża Eiffla leciała na głowę, nie wstanę! Rozumie pan! Każdy pies śpi w nocy, tylko mnie, Chevalierowi, nie dadzą spokoju. Dobranoc, zrozumiano?

- Czy już pan ochłonął? - spytał spokojnie naczelnik policji Poiret. Znał już naturę komisarza, który, uspokajał się równie szybko, jak wybuchał. Nie brał mu tego nigdy za złe.

- Ach to pan, panie naczelniku?!

Chevalier stał się usłużny, jak otrzeźwiony zimnym tuszem.

- Tak mój drogi, przykro mi, że pana znów budzę. Ale, widzi pan, ja nie śpię także.

- Czy stało się coś niezwykłego?

- Tak. Dziś w nocy znaleziono nieżywego fabrykanta perfum, Livarie'ego.

- Gdzie?

- W jego własnym mieszkaniu, przy biurku.

- Czy znowu Żółta róża?

- Niestety. Znaleziono ten kwiat w jego butonierce.

Jednym susem zerwał się Chevalier, a w pół godziny później jego mały citroën zatrzymał się przed biurem prefekta policji. Ten stał już gotów w płaszczu.

- Jedziemy - rzekł krótko. Potem do szofera: - Ulica de la Boetie sto osiemnaście.

- Nazwisko pani? - napadł Chevalier na starą właścicielkę mieszkania Livarie'ego ledwo otworzyła drzwi.

- Janina... Janina Corbusier. - Drżała z przerażenia i ledwo mogła mówić.

- Kiedy przyszedł pan Livarie do domu?

- O drugiej.

- Kto mu otwierał?

- Ja.

- Czy dziś wieczór był kto u niego?

- Nie widziałam nikogo.

- Czy kto telefonował?

- Nie mogę panu powiedzieć. Mój pokój leży bowiem daleko od pokoju nieboszczyka.

- Czy był kto w ciągu dnia?

- Tylko listonosz, jak zwykle.

- To nieprawda - rąbnął Chevalier.

- Ależ panie...

- Ot, co to jest - i wyciągnął z kąta damski parasol - na pewno nie należy do pani. Parasole noszone w pani wieku, wyglądają zupełnie inaczej.

- Tak, to nie jest mój parasol - rzekła stara, potrząsając głową z podziwem.

- I nie wie pani do kogo należy?

- Nie.

- Może do służącej?

- Nie, ona nie ma żadnego, wiem o tym na pewno.

- Chevalier oglądał przedmiot uważnie, po czym wręczył go naczelnikowi.

- Proszę zobaczyć, jeszcze wilgotny. Wszak dziś padał deszcz do ósmej wieczór. Zatem ta dama była tu z pewnością przed ósmą.

- Czy myśli pan, że w nieobecności pana Livarie'ego?

- Tak, podczas jego nieobecności.

- Pozwólcie panowie, ale przecież ja byłabym ją widziała na pewno, wtrącała się stara do rozmowy.

Kancelaria pana Livarie'ego byłaby wyglądała niewinnie jak co dzień, gdyby nie obecność doktora policyjnego, spisującego przy biurku nieboszczyka protokół i pilnie wszystko śledzących urzędników policyjnych. Widocznie także świeżo był fotograf, gdyż zapach magnezji napełniał pokój.

Trup siedział w krześle przy biurku w stroju spacerowym. Gdyby nie wykrzywiona twarz, można by przypuszczać, że pan Livarie uciał sobie drzemkę.

- Uduszenie, jak w innych wypadkach. I znany już wylew krwi pod kołnierzem. Śmierć nastąpiła prawdopodobnie przed dwiema godzinami, teraz jest druga, a zatem o północy - mówił rzeczowo i obojętnie lekarz.

- A zatem mniej więcej w godzinę po jego powrocie - rzekł Chevalier i przeszukał dokładnie pokój. Potem wyjął złotą różę z

butonierki zmarłego.

- Widzi pan - rzekł do naczelnika - kwiat jest zduszony. Morderca czy morderczyni przyniosła go w kieszeni. Ale jest świeży, dziś kupiony, nawet pewnie wieczorem, bo łodyżka jeszcze nasiąknięta wodą.

Potem przejrzał kieszenie zamordowanego. Nie znalazł nic prócz chustki i płaskiego złotego zegarka.

- Niech pan zobaczy, panie Chevalier, co to tam leży pod stołem koło ściany - rzekł naczelnik, a po chwili komisarz podniósł otwarte wieczne pióro.

Należącą do niego zatyczkę znalazł po długim szukaniu pod dywanem.

Chevalier kombinował:

- Jestem pewien, że owo pióro było ostatnim przedmiotem, którego dotykał Livarie i że odegrało ono ważną rolę w całym mordzie. Nieboszczyk musiał pisać coś przed śmiercią, w trakcie tego został napadnięty, a podczas zacieklej i rozpaczliwej walki pióro wypadło mu z ręki.

- Ale jak mógł morderca niepostrzeżenie wejść do domu? A parasol, czy nie wskazuje na to, że mamy do czynienia z kobietą? - pytał naczelnik.

- Nie jest wykluczone, ale wątpię czy kobieta dałaby rady tak roślemu i silnemu mężczyźnie jak Livarie. Nie jest on zamordowany z odległości, ale uduszony, czyli napadnięty z bezpośredniej bliskości.

Chevalier otworzył szufladę biurka, lecz nie znalazł nic

podejrzanego. Obejrzał parapety, także nic. Okna z wewnątrz były szczelnie zamknięte. Zbadanie innych pokoi nie przyniosło również rezultatów. Mieszkanie było urządzone po mieszczańsku, tchnęło jednak jakąś pustką kawalerskich pokoi.

- Musiało to indywiduum z żółtymi różami przyjść właśnie tutaj z Londynu! - pomstował Chevalier, gdy znaleźli się znowu na ulicy.

- Widać tam było mu za gorąco - rzekł naczelnik.

- Nie mogę jednak pojąć, na co on zostawia te róże? Na co posyła swoim ofiarom jeszcze za życia te głupie kwiaty?

- To jego monopol, pewnego rodzaju karty wizytowe, śmiał się naczelnik. Ale ja w tych kwiatkach właśnie widzę pewien sadyzm. Ten złoczyńca ma jeszcze to zadowolenie ze swoimi kwiatami drażni policję. W świadomości stałego niebezpieczeństwa, w tym wiecznym igraniu z ogniem ma specjalne zadowolenie.

Szli przez chwilę w milczeniu, pogrążeni w myślach.

- No, a co pan myśli teraz przedsięwziąć? - spytał naczelnik swego pomocnika.

- Doczekam świtu, a potem wypytam wszystkich handlarzy kwiatów w całym okręgu. Także będę śledził pochodzenie tego parasola. Poza tym muszę być w biurze pana Livarie'ego dla przesłuchania.

- A teraz?

- Hm... - mruknął Chevalier - teraz napiłbym się najchętniej gorącego grogu. Marznę jak pies.

- Przeczuwałem to, pan zawsze marznie jak pies, śmiał się

głośno Poirot. Nawet w lipcu, co?

Skręcili w wąską uliczkę, gdzie w piwnicy mieściła się stara knajpa. Przed wielu laty zbierali się tu jakobini marzący o wolnej Francji.

\* \* \*

Biuro zamordowanego Livarie'ego znajdowało się obok jego fabryki perfum. Chevalier wszedłszy do byłej pracowni szefa, zastał tam prokurenta.

- Proszę mi powiedzieć, jak prosperuje pańska firma? Czy mieliście w ostatnich czasach trudności?

- Przeciwnie panie komisarzu. Chcieliśmy w bieżącym roku rozszerzyć naszą fabrykę i nawet otworzyć filię w Londynie.

- Czy pański szef miał może wrogów w sferach finansowych?

- O ile ja wiem, to nie. Zmarły był człowiekiem bez zarzutu, a przy tym ogromnie uczynnym.

- No a w życiu prywatnym?

Prokurent wzruszył ramionami: - W jego życie prywatne nie byłem wtajemniczony.

- Czy wie pan może dlaczego pan Livarie się nie ożenił?

- Nie wiem dokładnie. Opowiadają że jakiś wielki zawód miłosny skłonił go do pozostania w starokawalerstwie. Ale to już z dziesięć, dwanaście lat temu.

- Nie wie pan przypadkiem czy miał jaką przyjaciółkę?

- Hm... - odpowiedział prokurent nieco zażenowany - trudno twierdzić, że żył jak mnich. Był jednak o wiele solidniejszy niż

niejeden żonaty.

- Bo widzi pan - rzekł Chevalier - wczoraj znalazłem w jego mieszkaniu damski parasol.

- To całkiem niemożliwe... O ile ja wiem, pan Livarie nie przyjmował nigdy kobiet w swoim mieszkaniu. To należało do jego zasad.

- Czy zna pan może którąś z jego przyjaciółek?

Nie jest bowiem niemożliwe, że rozegrała się tu jakaś tragedia na tle zazdrości.

- Ależ panie komisarzu! Przecież znaleziono u niego żółtą różę, rzekł cicho prokurent, a w głosie jego brzmiał wyraźny lęk.

- Tak, ma pan rację - przyznał Chevalier - jednak gdy się szuka wśród znajomych, z którymi utrzymywał stosunki, postępuje się w badaniu krok po kroku naprzód. Proszę mi jeszcze powiedzieć z którym bankiem współpracowaliście?

- Z Bankiem Francuskim.

- Zarządziłem dziś rano, żeby żaden bank nie wypłacał na czek pana Livarie bez poprzedniego zbadania przez policję. Zmarły pisał mianowicie coś przed śmiercią. Jest możliwe, że chodziło o jakiś czek.

Jaką sumę przedstawia wasz kapitał?

- Nie da się ustalić tej sumy na podstawie ksiąg, gdyż pan Livarie prowadził także prywatne interesy giełdowe. Co tydzień otrzymywał z tych obrotów dokładne rozrachunki.

- W takim razie proszę dowiedzieć się zaraz w Banku Francuskim. Albo najlepiej zrobię to sam, rzekł Chevalier i podniósł

słuchawkę.

- Pan Livarie przekazał przed dwoma dniami cały swój majątek w sumie trzech milionów czterystu tysięcy franków do Banku Aliance w Marsyli - objaśnił dyrektor Banku Francuskiego.

- Co, przed dwoma dniami? Ale dlaczego?

- Tak - odpowiedział dyrektor - my sami byliśmy zdumieni. Współpracowaliśmy przez wiele lat ze zmarłym i był z nas zawsze zadowolony. Posłaliśmy nawet naszego przedstawiciela w tej sprawie do pana Livarie. Lecz wszelkie jego wysiłki były daremne. Pan Livarie oświadczył, że potrzebuje tych pieniędzy dla pewnej transakcji i w krótkim czasie powierzy ową podjętą sumę z powrotem naszemu bankowi.

- Czy pan wiedział coś o tym - zapytał prokurenta Chevalier.

Zaprzeczył ruchem głowy.

- Proszę mnie natychmiast połączyć z Marsylią - rozkazał Chevalier i zaczął się przechadzać nerwowo tam i z powrotem. Po pół godzinie zgłoszono połączenie.

- Tu komisarz policji kryminalnej, Chevalier.

Mówię z biura zamordowanego wczoraj fabrykanta Livarie'ego. Czy to prawda, że przed kilku dniami przekazał waszemu bankowi sumę trzech milionów czterystu tysięcy franków?

- Tak jest.

- Proszę stanowczo nie wypłacać na żaden czek pana Livarie'ego, aż do wyjaśnienia całej sytuacji.

- Właśnie otrzymaliśmy świeżo przekaz...



- Jaki? Od kogo?
- Dostaliśmy ubiegłej nocy pilną depeszę.
- Od kogo?

Nie była podpisana, ale przypuszczamy, że nadawcą był sam Livarie.

- Proszę zobaczyć, skąd i o której nadany był telegram.
- O pierwszej w nocy z urzędu sto dwanaście.

Zaś dzisiaj rano przedłożono nam czek na całą sumę.

- Już dzisiaj rano?! Kto taki?

- Jakiś pan w towarzystwie damy.

- Dlaczego do diabła nie kazaliście od razu obojga aresztować?

- Zniknęli skoro tylko oświadczyłem, że muszę się połączyć z Paryżem. Skorzystali z momentu, kiedy na chwilę wpadłem do dyrektora o poradę.

- Proszę opisać oboje.

- Hm... to nie będzie łatwe. Dama mogła mieć z metr sześćdziesiąt pięć wzrostu, ubrana w tak ciężką żałobę, że twarzy dojrzeć nie mogłem. Ten pan miał duże ciemne okulary, małą bródkę i welurowy kapelusz z szerokim rondem, który zakrywał mu twarz. Także on ubrany był na czarno. To jest niestety wszystko, co mogę panu powiedzieć, Przynieśli list od pana Livarie'ego, w którym zmarły donosi w paru słowach, byśmy im wypłacili całą sumę, nie zapytując w Paryżu, gdyż wyjeżdża na parę dni, a kierownik jego interesów nie jest wprowadzony w te rzeczy.

- A czy jest pan przekonany, że ten list pisany był rzeczywiście

przez pana Livarie'ego?

- Całkiem na pewno. Mamy w banku grafologa, który stwierdził to bezwątpienia.

- Livarie nie mógł wysłać depechy, gdyż o północy już nie żył, rzekł Chevalier i zawiesił słuchawkę.

Prokurent siedział bez ruchu w krześle i patrzył na komisarza ze zdumieniem.

- Nic nie rozumiem - rzekł wreszcie.

- Ja także nic - przerwał mu Chevalier. - Niech pan powie, czy znał pan wszystkich odwiedzających wasze biuro?

- Prawie wszystkich.

- Więc tylko prawie, to znaczy, że niektórzy są panu obcy?

- Specjalnie w ostatnim tygodniu odwiedzał pana Livarie'ego niemal co dzień słuszny, szeroki w ramionach, bardzo przystojny mężczyzna mówiący po francusku z cudzoziemskim akcentem. Nie widziałem go nigdy dawniej u nas.

- Kiedy był po raz ostatni tutaj?

- Wczoraj rano. Pan Livarie poprosił go do siebie natychmiast.

- Zna pan może jego nazwisko?

- Nie, nie wymieniał go nigdy.

- Nie wie pan o czym rozmawiali obaj?

- I tego nie umiem panu powiedzieć. Tyle mogłem zaobserwować, że po każdej jego wizycie pan Livarie był specjalnie zdenerwowany.

- Czy może mi go pan dokładniej opisać?

- Mógł mieć metr siedemdziesiąt osiem wzrostu, twarz pełną energii. O ile się nie mylę, niebieskie oczy i ciemne włosy; bardzo porządnie i gustownie ubrany.

Palił krótką fajeczkę, a nosił ciemno błękitny płaszcz i sztywny kapelusz.

- Gdyby przyszedł dzisiaj, proszę spróbować za wszelką cenę zatrzymać go i uwiadomić mnie natychmiast. A teraz proszę otworzyć mi wszystkie szuflady biurka.

Biurko zawierało papiery, dotyczące interesów firmy we wzorowym porządku. Tylko jeden list w jaskrawej kopercie zwrócił uwagę Chevaliera.

Napisany był energicznym pismem kobiecym i brzmiał:

Panie Livarie!

Nieznana dama, która nie chce się chwilowo przedstawić ani przyjść do pańskiego biura, by nie zwracać uwagi, prosi pana o poważną i bardzo pilną rozmowę.

Oczekuję pana dziś wieczorem przy wejściu do Moulin Rouge o ósmej. Nie szukam przygody.

Nie pożałuje pan swego przybycia...

Podpisu nie było. List przyszedł na tydzień przed śmiercią adresata.

- Czy zna pan może to pismo? - spytał Chevalier prokurenta.

- Nie, widzę ten list po raz pierwszy.

- I nie wie pan czy pan Livarie poszedł na to rendez-vous?

- Nie, nie wiem.

- A zatem proszę mi sprowadzić szofera pana Livarie'ego.

- Czy ma pan dobrą pamięć? - spytał Chevalier wchodzącego szofera, kładąc mu z zaufaniem dłoń na ramieniu.

- Dostyc dobrą - odpowiedział.

- A zatem jeśli pan chce pomóc w wykryciu mordercy, proszę się zastanowić, czy około tydzień temu odwoził pan o ósmej wieczór pana Livarie'ego do Moulin Rouge?

- Tak jest, panie komisarzu, pamiętam to dobrze.

Jednak pan Livarie ułożył to sobie inaczej. Kazał zatrzymać parę ulic wcześniej i poszedł piechotą.

- Do licha! - zaklął Chevalier. - Czy nie kazał czekać na siebie?

- Nie.

- Czy wioził pan go w ostatnich czasach w towarzystwie jakiej damy?

- Nie. O dziewiątej byłem zawsze wolny.

Wozilem go jedynie w sprawach dotyczących interesów.

- Chciałbym przejrzeć wóz.

Lecz Chevalier trudził się na próżno. Nie mógł znaleźć nic podejrzanego.

- Proszę mi powiedzieć, panie szoferze, nie zauważył pan przypadkiem czy pan Livarie był w ostatnich czasach specjalnie obserwowany?

- Tak jest. Przed trzema dniami gdy odwoziłem pana Livarie'ego do domu, zauważyłem na przeciwległym chodniku jakiegoś mężczyznę, przechadzającego się tam i na powrót, który fiksował

okna jego mieszkania.

- Jak on wyglądał?

- Z metr siedemdziesiąt osiem wzrostu, w ciemnobłękitnym płaszczu, sztywnym kapeluszu...

-...i palił krótką fajkę.

- Tak, tak, słusznie! Skoro tylko spostrzegł, że go obserwuję, zniknął natychmiast w bocznej uliczce.

\* \* \*

Chevalier obchodził wszystkie sprzedawczynie kwiatów.

- Och, wielu ludzi kupuje żółte róże - mówiła Wesoła Charlotta - ale kto je kupi, ten wnet odejdzie od swoich bliskich, już ja to wiem!

- Może wiecie, Charlotte, czy taki słuszny pan z krótką fajeczka nie kupił u was wczoraj wieczorem pojedynczej róży?

- U mnie nie, może u innej.

Gruba Margot nie miała w ostatnich dniach w ogóle żółtych róż, tylko czerwone i białe goździki.

- No a wy, Łucjo - spytał po chwili Chevalier czarnowłosej przekupki z Szampani.

- Wczoraj? - namyślała się. - Nie mój panie.

Takiego mężczyzny, jak pan opisuje nie widziałam. Za to przedwczoraj sprzedałam jakiejś damie pojedynczą żółtą różę. Och, nawet nie pozwoliła sobie wydać reszty.

- O której to mogło być?

- Około północy.

- A jak wyglądała?

- Och! - Łucja wzniosła zachwycone oczy. - Tak piękną kobietę nawet w Paryżu widuje się rzadko.

Co ona miała za włosy! Boże! co za włosy, jak płynne złoto. A oczy, jak noc.

- Czy już dawniej kupowała kwiaty u pani?

- Nie, tylko raz. A jeśli się jeszcze kiedy zjawi, podaruję jej różę. Wie pan co? - ciągnęła dalej zadowolona (była znaną plotkarką i wykorzystywała każdą okazję, by się szeroko rozwodzić) - ja wolę piękne kobiety, niż pięknych mężczyzn.

- Łucjo, nie pytam o to, co pani woli, zrozumiano!?! - i Chevalier udał się na poszukiwanie sklepu, w którym był kupiony ów znaleziony u pana Livarie'ego parasol. Udało się znaleźć ten sklep na krótko przed zamknięciem. Sprzedająca potwierdziła, że przed około trzema tygodniami parasol ten został u niej kupiony rzeczywiście. Ale mimo wszelkich wysiłków nie mogła sobie przypomnieć, jak wyglądała klientka.

\* \* \*

Dom pani Winjet był punktem zbornym najlepszego i najwpływowszego towarzystwa w Paryżu.

Była to dama lat około pięćdziesięciu, właścicielka plantacji w koloniach afrykańskich, przedziwnie szminkowana, która poddawała swą twarz pielęgnacji najlepszych instytutów piękności.

Było prawie niemożliwością stać się sławnym lub dojść do czegoś bez pomocy salonów pani Winjet nadających ton. Na każdym terenie: polityki, nauki, sztuki czuła się jak u siebie w domu. W

gościnności, wdzięku i wpływach nikt nie mógł jej dorównać.

Cały Paryż mówił o wieczorkach, odbywających się u niej w każdą środę. Złe języki opowiadały, że urządziła je nie tylko z powodu gościnności i idealnej chęci udzielenia pomocy utalentowanej młodzieży...

Opowiadano bez żenady, że za kulisami jej namiętności do sztuki ukrywały się zupełnie inne sprawy, a mianowicie owe intymne melodramaty, których potrzebują niektóre starzejące się damy, których serce pozostało młode. Pani Winjet chwyciła się kurczowo każdej radości, każdego jaśniejszego promyka, który mogła jeszcze wydrzeć życiu.

Nie opuszczała żadnej kuszącej okazji, aby trochę pogrześcić... Nie chciała się postarzeć i otaczała się stale młodzieżą pełną życia i temperamentu, przekonana, że to otoczenie i ją zachowa w młodości.

Na wieczorach u pani Winjet spotykali się przedstawiciele wszelkich kierunków, wszelkich fachów i jakkolwiek nieraz w jej obecności ścierały się biegunowo przeciwne poglądy, umiała trafnym zdaniem, miłym uśmieszkiem i dobrym winem pogodzić wszystkich.

- Panowie i panie - mawiała - w moim domu możecie pozostać wierni waszym zamiłowaniom, jednak przy równoczesnym poważaniu dla ideałów waszych towarzyszy. Możecie prowadzić walki duchowe - ale bez zawiści. Możecie dyskutować tak głośno i zapamiętale, żeby się aż chwiały moje świeczniki, ale nie stawać się osobistymi wrogami. Gromadzę was wszystkich u siebie, ażeby udowodnić na przykładzie, że nawet u ludzi rozmaitych poglądów istnieją zawsze jakieś punkty

zaczepne. Na przykład pan Buaven jest z przekonania monarchistą, ja zaś najczystszej wody republikanką; nie przeszkadza nam to wcale być najlepszymi przyjaciółmi. Przekonania każdego są jego religią, a religia sprawą najbardziej osobistą.

- Brawo, pani Winjet - przerwał jej z głośnym aplauzem młody rzeźbiarz Bravianu - lecz gdyby tu na przykład zjawił się dziś wieczór ten morderca z żółtą różą, czy i z nim znalazłaby pani tematy wspólne? Z pewnością popełnia swoje zbrodnie w przekonaniu, że ma do tego prawo, a to przekonanie jest jego religią... jak dopiero udowodniliśmy.

W salonie zapanowała nagle niesamowita cisza, jakby śmierć we własnej osobie weszła w te wygodne empirowe salony.

Z pobladłą gwałtownie twarzą zapytała pani Winjet rzeźbiarza:

- Czy nie miał pan lepszego dowcipu dla nas, panie Bravianu?

Bravianu zakłopotał się, pożałował prędko własnych słów.

- Wybaczcie szanowne panie i panowie, że zakłóciłem ten beztroski wieczór wspomnieniem Żółtej róży, sprawiając wam przykrość. Mój przykład był nietaktowny. Ażeby zatrzeć to wrażenie, opowiem państwu pewną historyjkę z mojego atelier. Przed dwoma tygodniami zaangażowałem modelkę dla mojej Diany. Dziecko to było cudownie piękne. Gracja całego ciała, linie nóg były tak doskonałe, że Diana gdyby żyła, zzieleniałaby z zazdrości. Z całą pasją rzuciłem się do roboty, jednak po pięciu czy sześciu tygodniach przekonałem się, że moja żywa Diana stała się nagle okrągłejsza. Proszę sobie przedstawić moją rozpacz! A przyczyna? Jej wuj z



provincji uszczęśliwił ją całą skrzynką bananów, którą pochłonęła sama. Czy to nie tragedia w swoim rodzaju?

- No i co zrobiłeś, Bravianu - zapytał ktoś z towarzystwa.

- Nie pozostawało mi nic innego, jak z Diany zrobić Wenus. Tej wolno mieć okrągłe kształty!

Gdy po jego ostatnich słowach nastąpił wesoły śmiech, przekonał się, że naprawił swoją niezręczność i szybko odzyskał poprzednią równowagę.

Wrażliwa pani Winjet odczuła zmianę w nastroju gości i podniosła kielich z winem, wznosząc zdrowie roztrzepanego, ale tak miłego Bravianu.

Patetycznie obsunął się na kolana i pokrył pocałunkami ciężką od pierścieni rękę gospodyni. Ona zaś wzięła go pod ramię i poprowadziła na balkon.

W dali migotały światełka Wieży Eiffla, rywalizując z gwiazdami i zalewając nocne niebo jak świetliste złote łyzy.

- Co się z tobą dziś dzieje, młodzieńcze? - zapytała z wyrzutem, wpadając od razu w poufałe ty.

- Nic - brzmiała krótka i chłodna odpowiedź.

- O jakim modelu mówiłeś przed chwilą?

Głos jej drżał zazdrością i męką.

- Czy chcesz może, żebym cię wziął na model Diany? - Nieświadomie, a może umyślnie objął wzrokiem jej postać od stóp do głów.

Twarz pani Winjet zalała się szkarłatem.

- Jaki ty jesteś brutalny, jaki niedobry! - rzekła cicho, a w oczach błysnęły łzy.

Bravianu uderzył w jej najczulszą stronę. Czy mógł jej sprawić większą przykrość, jak nawiązać do jej starości?

- Łucjo, nie chcę być zależnym od ciebie, rozumiesz?

- A moje pieniądze, Bravianu? - wpadła mu w słowo. - Nie wstydzisz się? Czy zapomniałeś wszystko, co Zrobiłam dla ciebie i co czynię dziś jeszcze?

- Łucjo, bądźmy szczerzy, przynajmniej dzisiaj.

Co znaczy: zrobiłam dla ciebie wszystko? Nie dla mnie, tylko dla siebie. Wynagrodziłaś swoją starość pieniędzmi. Chciałaś kupić iluzję bezpowrotnie straconej młodości!

- A ty przyjmowałaś te pieniądze.

- Bo nie mogłem się uwolnić spod twojego czaru.

Bo swoją zazdrością zapędziłaś mnie w ślepią uliczkę.

Och, już ty wzięłaś dobrą zapłatę za swoją dobroć!

- Ależ Aleksandrze! - wykrzyknęła przerażona.

- Czy mówisz poważnie?

- Tak, już mam tego dosyć, zresztą i tak opuszczam Paryż i jadę do Włoch.

- Dobrze, zrób tak! - rzekła zdecydowanie. - Od miesiąca już deptasz mnie nogami, męczysz mnie.

Mam tego dość. Koniec! To było ostatnie nasze spotkanie, nie masz już powrotu!

Bravianu zagryzł dolną wargę. Teraz dopiero zrozumiał czego

narobił, że przedwcześnie odkrył swoją grę ostatnich lat. Teraz stał przed Łucją jak nagi w całym bezwstydy. Zrozumiał, że za wcześnie wyrwał się z całą prawdą. Żeby był chociaż wypił mniej wina!

Ogarnęła go obawa, że podróż do Włoch, Egiptu, cała jego kariera przewróci się za jednym zamachem, jeżeli pani Winjet wykona swoją groźbę.

Próbował z nagłym nawrotem uprzejmości przejednać ją, wyciągając rękę z uśmiechem.

- Daruj mi Łucjo - rzekł niepewnie.

- Nicpoń! - rzuciła pani Winjet i nie spojrzawszy na niego, pozornie spokojna, by nie dać poznać jak jest złamana, powróciła do gości.

\* \* \*

Goście opuścili dom wcześniej, niż zazwyczaj.

Mimo wysiłków pani Winjet, by ukryć zmartwienie, czuli wszyscy, że zaszło coś dzisiaj wieczorem. Znali cichą tragedię pani Winjet. Gdy odszedł ostatni gość, posłała służbę na spoczynek, po czym zamknęła się w swoim małym buduarze i tam dopiero dała folgę łzom.

Jeszcze przed kilku dniami, jeszcze wczoraj, jeszcze dzisiaj myślała, że po tylu zawodach znalazła wreszcie wierną duszę... A tu nagle spadł ten niszczący grom!

Bolało ją to niewypowiedzianie. Wstydziała się teraz wszystkich czułości, okazywanych Bravianu. Jedno widziała jasno: że dzisiejszej nocy umarła jej ostatnia miłość...

Siedziała długo, pogrążona w myślach. Na małym stoliczku mahoniowym tykał monotennie zegar z brązu, piękna robota w stylu Ludwika XI. Światło lampy stłumione jedwabnym abażurem zalewało mały pokój ciepłym półcieniem.

Nagle usłyszała za sobą ciche skrzypnięcie drzwi od szafy. Odwróciła się szybko... i skamieniała z przerażenia. Chciała krzyknąć o pomoc, ale jakaś zimna ręka zatkała jej usta.

- Gdzie kluczyk? - Zimna dłoń pofolgowała na chwilę.

Drżąc na całym ciele wydobyła z za sukni delikatny złoty łańcuszek, na którym obok kluczyka wisiał misterny złoty krzyżyk.

- A litery?

- A, Zet - szepnęła bezdźwięcznie i runęła na podłogę.

Następnego ranka znaleziono ją martwą na dywanie. Lekarz skonstatował udar sercowy. W jej białych rękach, splecionych na piersi tkwiła żółta róża.

Schówek na kosztowności, ukryty za szafą w ścianie - był pusty.

\* \* \*

Bravianu miał okropny sen: Szedł przez Saharę, grzęznąc po kostki w sypkim piasku. Jak wzrokiem sięgnąć, nie było śladu żywej duszy. Tylko na horyzoncie rysowały się meczety i kontury fantastycznego miasta. Była to fatamorgana.

Nagle słońce zaczęło czerwienić gwałtownie, aż zamieniło się w krwawy dysk. Bravianu spojrział na piasek, który był też czerwony. Schylił się i podniósł pełną garść: to nie był piasek, ale krew. Chciał się jej pozbyć, ale krew nie schodziła z rąk, nic nie pomagało.

Zrozpaczony tarł dłońmi o ubranie, na próżno. Nagle usłyszał wyraźnie swoje imię - zobaczył sfinksa.

Kamienne jego oczy patrzyły ze smutkiem, a głos był zgnębiony. Przystąpił do niego bliżej. I nagle sfinks położył obie ciężkie łapy na jego ramionach. Dotknięcie to było tak bolesne, tak nieznośnie ciężkie, że Bravianu począł głośno krzyczeć. Dopiero teraz rozpoznał w sfinksie panią Winjet. Zbudził się zlany zimnym potem.

Jego atelier skąpane w porannym słońcu przedstawiało w tym dniu dziwny widok. Obcy ludzie grzebali w jego rzeczach leżących w nieładzie na stołach, krzesłach i dywanie. W drzwiach stała blada z przerażenia gospodyni.

Spoza niej wyglądali zaciekawieni sąsiedzi, a przy łóżku, na którym leżał Bravianu, stał nieznany mężczyzną z gładko wygoloną twarzą i zimnymi oczami.

- Jest pan aresztowany - mówił. I nie łapy sfinksa, ale ciężkie męskie dłonie legły na jego ramionach.

Bravianu wyprostował się w łóżku: - Kto jest aresztowany? - Nie rozumiał nic.

- Pan.

- Za co na miłość boską?!

- Pan sam wie najlepiej. Po pierwsze za obrabowanie pani Winjet, a po drugie za przypuszczalny udział w morderstwie.

- Pani Winjet nie żyje?!

Jednym susem wyskoczył Bravianu z łóżka i rzucił się w pizanie do drzwi. Ale komisarz Chevalier zastąpił mu drogę.

Bravianu pchnął go tak silnie za ramiona, że tamten stracił prawie równowagę. Trzej pomocnicy policyjni pospieszyli komisarzowi z pomocą i po ciężkiej walce obezwładnili szalejącego rzeźbiarza.

- Jestem niewinny, jestem niewinny! - wołał rozpaczliwie. Zdawało się, że traci rozum z przerażenia.

Dopiero w aucie policyjnym pojął, że jego opór jest daremny i popadł w głuchą zadumę.

\* \* \*

Mała knajpa Coeur de Jeanette na Montmartrze była tak przepełniona, że któryś z wesołych, przedsiębiorczych gości zaproponował, aby dla „uchylenia nędzy mieszkaniowej”, jak to nazwał, wszystkie panie usiadły na kolanach swych towarzyszy.

Projekt ten spotkał się z gorącym aplauzem i wkrótce goście stanowili jedną wielką, rozbawioną rodzinę.

Gaby van Lind zaraz przy wejściu uczuła niesmak.

Mały lokal był pełen dymu, a głośnie śmiechy kobiet i krzyki studentów działały jej na nerwy. Przemocą przebiła się pomiędzy gęsto obsadzona stoliki i osiągnęła małą niszę.

- O, pani! Dwa oddane kolana stoją do jej dyspozycji. Czy nie zajmie pani miejsca?

- Signorita, bela donna, śnie moich bezsennych nocy! Sam Leonardo da Vinci nie mógłby znaleźć wspanialszego modelu! - wołał zachwycony niski Włoch w czerwonej baskijce, podnosząc szklankę z winem i tak zabawnie przyciskając rękę do serca, że Gabv nie mogła opanować śmiechu.

Miała na sobie elegancki płaszcz sportowy w kratę, który uwydatniał jej zgrabną figurę. Na głowę nasadziła kokieteryjnie białą skórzaną czapkę, spod której pukiel miękkich włosów spływał na różowe uszko.

Zajęła miejsce i zamówiła wino.

Ledwo zaczęła pić, pochylił się nad nią jakiś mężczyzna.

- Pozwoli pani usiąść? Wszystko jest zajęte - usprawiedliwiał się uprzejmie. Dopiero teraz zauważyła niesamowite duże oczy o czarnych jak agat źrenicach, które ciekawie odcinały się od białek. Wyraz tych oczu zmieniał się tak ciągle, że nie mogła się połapać, w czym tkwiła ich niezwykłość.

- Czy pani jest cudzoziemką? - zapytał lustrując ją spokojnie.

- Tak, ale nie nudzę się w Paryżu i nie tęsknię za znajomościami.

- Bardzo dobrze, słusznie powiedziane. Jeśli wszystkie problemy życiowe rozstrzyga pani tak szybko i zdecydowanie jak zagadnienie naszej znajomości, to mogę pani tylko pogratulować.

Gaby nie odpowiedziała. Myślami wylatywała daleko. Gwar wmieszanych głosów obijał się obojętnie o jej uszy.

- Pani jest smutna. Czuje się pani prześladowana.

Na pięknych ramionach pani cięży trudne zadanie. Igra pani ustawicznie z ogniem - szeptał jej cicho nieznajomy.

Gaby patrzyła zdumiona.

- Pani nie przyszła tu z nudów, ani przypadkiem - dodał. - Szuka pani kogoś i znajdzie go.

- Proszę nie pleść głupstw. Nie interesuje mnie wcale pańskie

paplanie.

- Nie wierzę w to - odpowiedział niewzruszony.

- Nie ma dla mnie tajemnic. Mogę przejrzeć panią na wylot jak szkło. Znam panią lepiej, niż ktokolwiek inny.

- Niż kto?

- Niż ten pan z fajką...

Teraz popatrzyła mu po raz pierwszy w oczy. Było w tym spojrzeniu coś szelmowskiego, więcej: coś niesamowitego. Działo przyjemnie, ale niepokojąco.

- Płacić! - rzuciła Gaby przechodzącemu kelnerowi.

Nieznajomy uczynił to samo. Skoro jednak wyszła na ulicę i zatrzymała się chwileczkę przy drzwiach, straciła go z oczu. Zniknął, jakby go pochłonęła czarna noc.

- Tak późno? - usłyszała nagle znajomy głos.

Był to Rul.

- Skąd bierze się pan tutaj - zapytała zmieszana.

- Tak samo zupełnie jak pani, tajemnicza istoto.

Czemu pani taka blada? Czy stało się co?

- Nie, dziękuję.

- A teraz dokąd?

- Jadę do domu.

- Do którego z dwóch domów, jeśli wolno spytać?

Zdumiała się.

- Jak mam to rozumieć, panie Rul?

- Że pani posiada dwa mieszkania - odpowiedział spokojnie.



- Czy jest pan tego pewien?

- Tak, najpewniejszy.

Zmusiła się do uśmiechu, chcąc całą tę rozmowę obrócić w żart. Lecz nie udało jej się.

- Niech pan nie mówi głupstw, panie Rul, proszę mnie lepiej odprowadzić do taksówki.

- Do którego mieszkania pani jedzie?

- To już proszę zostawić mnie i szoferowi.

Uważam, że zanadto interesuje się pan moją osobą.

- Tak, to prawda.

- I jak mam sobie to wytłumaczyć? Anglicy nie są tacy ciekawi bez specjalnych powodów. Ach tak, pan ma te powody! Czy mogę wiedzieć jakie?

Wziął ją za rękę i silnie pociągnął z obrębu światła latarni pod mały domek, leżący w cieniu.

- Tak, widzę, że pani chce koniecznie wiedzieć.

Wobec tego, że przed ośmiu dniami miała pani tajemnicze spotkanie z panem Livariem, że w dniu jego śmierci znaleziono w jego mieszkaniu pani parasol, że dziś o szóstej rano była pani w ogrodzie pani Winjet...

Stała przed nim blada i bez ruchu. Oczy jej śledziły prawą jego rękę, którą obejmował w kieszeni płaszcz jakiś przedmiot: klucz czy rewolwer.

- Panie Rul, nie udał się panu ten trick - rzekła, grożąc. Kto się ostatni śmieje, śmieje się najlepiej.

Wiem o panu dużo więcej, niż pan o mnie. Ale jeszcze czas na to!

To mówiąc, szarpnęła drzwiczki taksówki, która zatrzymała się przed nią i skoczyła na stopień. Rul chwycił jej rękę, aby ją zatrzymać, lecz w tej chwili otrzymał z tyłu tak silny cios w głowę, że upadł na kolana.

\* \* \*

Rzeźbiarz Bravianu siedział przed sędzią śledczym.

Był tak zdenerwowany, że urzędnik podał mu na uspokojenie papierosa z własnego etui.

- Więc przyznaje pan, że utrzymywał pan z panią Winjet bliskie stosunki?

- Podąłem to już wczoraj do protokołu, nie myślę temu zaprzeczać.

- Czy potwierdza pan również, że był pan zależny materialnie od pani Winjet?

- Tak... czasem.

- Chciał pan jechać do Włoch? Wczoraj wieczór prowadził pan z nią gwałtowną dyskusję.

Prawdopodobnie projekty podróży przewróciły się.

Czy może nas pan objaśnić, o czym była mowa?

- Żądałem rozejścia się, to wszystko.

- A pani Winjet?

- Godziła się na to.

- I nic więcej?

- Nic.

- A gdy wszyscy goście się rozeszli?

- Ja opuściłem również jej dom.

- I nie wrócił pan już?

- Nie. Nie mogę niestety tego udowodnić, gdyż po rozmowie z panią Winjet byłem tak zdenerwowany, że nie pamiętam nawet, po których ulicach wędrowałem bez celu.

- Więc zacina się pan, jak dziś rano?

- Mówię tylko prawdę. Zresztą wszak pani Winjet nie została zamordowana, umarła na atak sercowy.

- Ale została obrabowana! - Z tryumfującym uśmiechem wydobył sędzia ze swojej teczki jakiś list.

- Nieznajoma osoba przysłała dziś rano to pismo:

Po fakcie nie zostawaj ani godziny w Paryżu. Za dwa tygodnie spotkamy się w Asyżu.

- I co pan na to, panie Bravianu?

Zapytany zbladł.

- Może teraz powie pan coś wreszcie?

- Nie znam nadawcy tego listu.

- Czy to ostatnie słowo pana?

- Ostatnie.

- Odprowadzić go! - rozkazał sędzia śledczy policjantowi i poszedł na śniadanie.

\* \* \*

Przed pensjonatem Bastille zatrzymała się taksówka. Rul wysiadł

i w dwóch susach był u portiera.

- Chciałbym mówić z panią Gaby van Lind.

- Wyjechała.

- Jak to wyjechała?!

- No tak, z rzeczami.

Rul zgrzytnął zębami. Wskoczył na powrót do auta, które pomknęło z taką szybkością w kierunku Champs Elysées, że z pewnością tego wieczora zostało niejeden raz zanotowane przez policję.

- Czy jest pani Gaby van Lind? - krzyknął w twarz portierowi hotelu.

Stary jegomość był przerażony.

- Bardzo mi przykro, odjechała niedawno.

- Dokąd?

- Do Berlina. Słyszałem jak zamawiała bilet, a potem kazała się wieść na dworzec północny.

- Kiedy odchodzi pociąg do Berlina?

Stary pan wyciągnął zegarek z kieszonki kamizelki: - Odszedł przed czterdziestoma dwiema minutami.

Rul westchnął ciężko. Zapłacił szoferowi i poszedł powoli ulicą. Był smutny wieczór jesienny. Drobnym ciepłym deszczem siekła miejski asfalt... Tysiące kolorowych świateł przeglądało się w jego mokrym lustrze, malując fantastyczne obrazy.

Ktoś dotknął nagle jego ramienia. Rul odwrócił się gwałtownie. Stał przed nim mężczyzna małego wzrostu w czarnej pelerynie i

takimż kapeluszu z szerokim rondem. Dwoje oczu niesamowicie dużych i ciemnych wpatrywało się w Rula.

- Muszę z panem pomówić - rzekł nieznajomy.

- Ze mną? A zna mnie pan?

- Bardzo dobrze.

Zaszli do małej, ciemnej kawiarenki.

- Życiu pana grozi niebezpieczeństwo - rzekł człowieczek. Dziś wieczorem dostał pan w głowę, jest to pierwsze ostrzeżenie.

Rul patrzył na nieznajomego ze zdumieniem - Skąd wie pan to wszystko?

Zaśmiał się:

- Bo to ja sam uderzyłem pana w głowę kiedy pan chciał wyciągnąć Gaby van Lind z auta.

Rul zerwał się z siedzenia. Ale nieznajomy pociągnął go z powrotem na krzesło.

- Niech pan tu nie robi scen, proszę bardzo. Ma pan dość powodów, by nie narażać się tutejszej policji.

- Czy pan oszalał?

- O, nie. Widziano pana przez jakiś tydzień prawie co dzień w biurze pana Livarie'ego. Nim jeszcze komisarz Chevalier wiedział o morderstwie, zapytywał pan w banku Aliance w Marsyli, czy Livarie przekazał tam swoje pieniądze. W dniu jego śmierci wieczorem stał pan przed jego domem. W pana pokoju leżał na dywanie płatek żółtej róży, a wreszcie, ubiegłej nocy był pan jeszcze przed policją o piątej rano w wili pani Winjet.

Rul zbladł i zapalił nerwowo fajkę.

- Co pan chce przez to wszystko powiedzieć? - zapytał wreszcie.

- Najlepiej byłoby dla pana zniknąć jak najprędzej z Paryża.

- Hm, to szczególne. Jeśli pan jest tak dokładnie poinformowany, to dlaczego nie każe mnie pan aresztować?

- Mam swoje powody - odpowiedział wymijająco nieznajomy. - Radzę panu zniknąć jak najprędzej. Nie wiem bowiem czy przy następnym naszym spotkaniu będę mógł być tak lojalny wobec pana.

Mówiąc to wstał i drobnym, spiesznym krokiem skierował się ku drzwiom.

- Chwileczkę jeszcze! - zawołał Rul za nim. - Nie przedstawił się pan wcale, wszystkowiedzący panie!

- Pan jest jeszcze bardzo naiwny, miody człowieku - zaśmiał się i zniknął za drzwiami.

Rul zapłacił i wybiegł za nim. Udało mu się tylko dojrzeć czarną sylwetkę, wskakującą do autobusu. Rul wziął taksówkę i przez godzinę jechał za autobusem aż do stacji końcowej. O dziwo, ani na przystankach, ani na końcu nie znalazł śladu nieznajomego.

\* \* \*

Komisarz Chevalier siedział w klubie adwokackim.

Zachodził tu często, czuł się bowiem najlepiej w tym otoczeniu. Lubił ponad wszystko kryminalistykę, a tu mógł mówić z fachowcami, wśród których byli nawet specjaliści, o różnych jej zagadnieniach. W tej chwili był tak pogrążony w rozmowie ze znanym adwokatem Renéem, że nie zauważył słusznego, około

czterdziestopięcioletniego mężczyzny, który zbliżył się do stołu. Miał piękną charakterystyczną głowę i twarz o inteligentnym wyrazie. Wyglądał na południowca.

Świadczyły o tym zwłaszcza oczy, pełne szczególnego blasku. Siwiejące skronie, zmęczony uśmiech wokoło wyrazistych ust i ledwo dostrzegalne zmarszczki pod oczami świadczyły o życiu pełnym gwałtownych namiętności.

- O, pan Viriwan, co za zaszczyt! - pozdrowili go panowie, zebrani przy stole. Ręce wyciągnęły się ku niemu z powitaniem.

- Kto to? - zapytał Chevalier szeptem sąsiada.

- Bardzo bogaty człowiek, wielki dobroczyńca i specjalista w zagadnieniach psychoanalitycznych.

Matka jego była podobno Turczynką, ojciec, zdaje mi się, Ormianinem. To bardzo nieprzeciętna osobistość.

- Nie widziałem go nigdy tutaj - rzekł Chevalier.

- Tak, jest przeważnie w podróży. Zdaje mi się, że stale mieszka we Włoszech. Pozwoli pan, że go przedstawię?

- Mówimy właśnie o zbrodniach Żółtej róży - zajechał go Chevalier od razu.

- Ach, tak? - zaśmiał się gość. - Jest to temat bardzo aktualny. Czy panowie zauważyli może, że im większy jest przestępca, tym sentymentalniejszy jego pseudonim. Na przykład ta Żółta róża. Dlaczego nie Ostry sztylet albo Zabójca? Znałem wielkiego złoczyńcę, który swoje listy, pełne pogroźek, podpisywał stale: Święty Franciszek.

Jestem przekonany, że wierzył w swoją świętą misję, a mianowicie pragnął uwalniać jak najprędzej swoich współpracowników od cierpień tego życia i wyprawiać ich na lepszy świat.

- Można by powiedzieć: dostawca rajów - zaśmiał się Chevalier.

- Tak, właśnie.

-

Jak należy tłumaczyć to szczególne obdarowywanie przez Żółtą różę kwiatami?

- Och - wtrącił Viriwan - można znaleźć niejedno wyjaśnienie. Nie jest także wykluczone, że ma specjalny kult dla żółtych róż, albo, że chce swoimi kwiatowymi podarunkami prosić ofiary o przebaczenie.

Kto go tam wie!

- Dla mnie jest ta cała sprawa jeszcze ciągle zupełnie tajemnicza - rzeki Chevalier. Najwięcej jednak drażni mnie jego absolutnie nieuchwytnie zjawianie się i znikanie. Nie udało się dotychczas wyłowić żadnego śladu jego odwiedzin.

- Hm... - rzekł Viriwan - to właśnie jego tajemnica. I na to są komisarze policji, by zagadkę wyjaśnić.

Chevalier westchnął ciężko.

- Łatwo powiedzieć!

- Ludzie twierdzą, że komisarz musi być koniecznie mądrzejszy niż złoczyńca. To przekonanie jest jednak błędne. Nie można na przykład wymagać od dwóch partnerów grających w szachy, by obaj wygrali. Wszystko zależy od kombinacji, od specjalnych okoliczności.

- Nie moi panowie - zabrzmiał donośny głos mężczyzny od dalszego



stolika - wykrzycie złoczyńcy zależy jedynie od policji. Oni mają obowiązek być przebieglejszymi i bardziej rafinowanymi. A kto nie czuje w sobie takich właściwości, to wyświadczy społeczeństwu wielką przysługę, jeżeli ustąpi swego miejsca zdolniejszym od siebie.

Wszyscy się ogłędnęli. Był to Rul.

Komisarz Chevalier poczuł się dotknięty: - Mam nadzieję, że nie mnie miał pan na myśli - zapytał.

- Mówię o wszystkich niezdolnych komisarzach kryminalnych. A już każdy z was osądzi, czy czuje się dotknięty czy nie.

- Niesłychane! Kim jest właściwie ten pan!? - spytał Chevalier półgłosem sąsiada.

- Nie wiem doprawdy. Widzę go po raz pierwszy tutaj. - Wstał, aby się dowiedzieć o obcego przybysza.

-

Proszę wybaczyć - nachylił się przewodniczący klubu nad Rulem - ale u nas jest taki zwyczaj, że nowego gościa wprowadza zawsze dwóch dawnych członków. Kto pana wprowadził?

- Niestety nikt. Ale zastosuję się do tutejszych przepisów i zapłacę zaraz składkę. - Wstał i opuścił lokal. Nie mógł się dziś pozbyć wielkiego zdenerwowania. Całe popołudnie włóczył się bez celu po ulicach, aż zobaczył gościnnie otwarte drzwi klubu.

Przyjazne pozdrowienie portiera zachęciło go do wejścia. I musiał akurat spotkać tu komisarza!

Uśmiechnął się cierpko sam do siebie.

- Może te róże, to jego kult... - przypomniał sobie słowa

Viriwana.

Znudzony i rozdrażniony, gdyż spotkanie w klubie popsulo mu wieczór, wszedł do pierwszego lepszego kina. Jakaś blondyneczka śpiewała o miłości i namiętności. Do licha! - pomyślał Rul - wszędzie to samo! W każdej piosence, noweli, w każdym przejawie życia spotyka się namiętność i miłość. Przymknął oczy i wyobraził sobie Gaby. Nic go nie obchodziło, co dzieje się na ekranie. Cieszył się, że jest ciemno. Może godzinę siedział tak, zatopiony w myślach, potem wstał i poszedł do domu.

Stanąwszy pod drzwiami, zauważył ze zdumieniem, że znowu są otwarte. Wszedł do pokoju. Przy jego własnym biurku siedział tyłem do drzwi jakiś mężczyzna. Rul stanął jak przyrośnięty do podłogi.

Obcy odwrócił się: był to Viriwan. Czuł się tu widocznie jak u siebie w domu, wstał i z wyciągniętą dłonią zbliżył się do Rula.

Rul cofnął rękę, ale i to nie zmieszało gościa.

- Jakim sposobem wszedł pan tutaj? - zapytał Rul.

- Oczywiście przez drzwi. Pukałem kilka razy, nie otrzymując odpowiedzi, potem przekonałem się, że pokój jest niezamknięty i siadłem tutaj, z postanowieniem czekania na pana, choćby do jutra.

- Skąd pan wiedział gdzie mieszkam?

- Och, to takie proste! Nazwisko swoje wpisał pan do książki klubowej. Z krótkiej rozmowy z panem wywnioskowałem, że jest pan Anglikiem. Wiem poza tym, że Anglicy z zupełnie niezrozumiałych przyczyn umieszczają się przeważnie w tym obwodzie. Reszty dokonały trzy czy cztery zapytania telefoniczne. I oto stoję przed

panem. Trzeba tylko logicznie rozumować, nieprawdaż panie Rul? Logika łamie żelazo, powiadam panu.

- Co sprowadziło pana do mnie!

- Pańskie wywody w klubie adwokackim. Cha, cha, biedny Chevalier o mało nie dostał ataku sercowego. Zaimponował mi pan, młody człowieku.

Czy to nie wystarcza, aby odszukać bliźniego?

Rul usiadł naprzeciw nieproszonego gościa i czekał. Dziwne myśli przelatywały mu przez głowę.

Miał dziś całkiem niesamowity dzień. Nieumówione spotkanie z Gaby, mężczyzna w czerni, ucieczka Gaby, omdlenie wskutek uderzenia, spotkanie z Chevalierem i teraz te odwiedziny nieznanego. Wszystko to przedstawiało mu się, jak źle zmontowany reportaż filmowy.

- Proszę mi powiedzieć - zaczął gość - mówił pan o sprawach kryminalnych tak autorytatywnie, iż przypuszczam, że ma pan już rutynę w tym zakresie.

- Proszę wybaczyć, jeżeli moja odpowiedź wyda się panu niegrzeczna - odpowiedział Rul. Ale nie mogę jeszcze ciągle pojąć, jak można z takim spokojem w tajemniczy sposób wejść do obcego mieszkania, w dodatku w czasie nieobecności właściciela.

Żyłka na lewym oku Viriwana zaczęła gwałtownie drgać. Ostre jego spojrzenie utkwilo z pewną pogardą w twarzy Rula. Wyczekał długą chwilę, potem rzekł: - Niech mi pan powie, czy nie wszedł pan nigdy nieproszony do czyjegoś mieszkania?

Rul namyślał się. Nie oczekiwał tego pytania.

- To zależy od rozmaitych okoliczności - odpowiedział jakby zmuszony.

- Ach tak, a jakież to są okoliczności, jeżeli wolno spytać?

- Pan wybaczy, nie mam dziś ochoty do dyskusji odpowiedział nieprzychylnie Rul.

- Innymi słowami: mam odejść?

- Tak, odgadł pan moje myśli, panie Viriwan.

- Czy pan uwierzy? Wątpię czy to są myśli pana...

Ubrał się powoli i starannie, po czym z bocznej kieszeni wyjął duże skórzane etui z cygarami i poczęstował Rula. Gdy ten odmówił, zapalił sam cygaro i opuścił pokój, nie żegnając się i nie oglądając.

Rul poczekał chwilę. Potem chwycił płaszcz i kapelusz, otworzył cicho drzwi i... natknął się na Viriwana.

- Chciał mnie pan śledzić, prawda?

Rul oblał się szkarłatem i nie umiał odpowiedzieć.

Czuł się upokorzony uśmiechem i spokojem gościa.

- Po co śledzić kogoś, zamiast po prostu pójść z nim?

- Dziękuję, nie skorzystam - rzekł Rul. Wrócił do pokoju i zatrzasnął ze wściekłością drzwi za sobą.

\* \* \*

Zdruzgotany zupełnie męką bezsennych nocy i torturami ciągłego przesłuchiwania siedział rzeźbiarz Bravianu już po raz szósty w znanym mu aż zanadto pokoju.

- Pan był jedynym, który owego ważnego wieczora rozmawiał z

panią Winjet o Żółtej róży.

- Tak - odpowiedział zmęczony Bravianu.

- Co mówiła o tym?

- Moja uwaga padła wśród wielu innych tematów i była bez znaczenia.

- Skoro jednak opuszczał pan dom wraz z innymi, zauważono u pana jakąś paczkę.

- A zatem sam pan potwierdza panie sędzio, że opuszczałem dom wraz z innymi - zawołał uradowany Bravianu.

- To tak. Ale wszak pan żył tak blisko z panią Winjet, że mógł pan dla pozorów tylko wyjść razem, by jej nie kompromitować. Jako stały gość i powiedzmy dobry przyjaciel, mógł pan zawrócić na pierwszym rogu i wrócić bez ceregieli. Czy pan to zrobił czy nie, wykryje się w każdym razie. Teraz jednak chciałbym wiedzieć, co pan miał w tej paczce?

Bravianu wahał się:

- Proszę pozwolić, że na to pytanie odmówię odpowiedzi.

- Naturalnie, ma pan to prawo. Ale czy to wyjdzie panu na dobre, przekona się pan wkrótce na własnej skórze.

Bravianu namyślał się długo. Sędzia śledczy palił cygaro i obserwował grę twarzy młodego człowieka.

- Nie, tego nie powiem - zdecydował Bravianu.

- Doskonale, zatem ustalimy to sami. Proszę mi powiedzieć, kim był ów czarno ubrany mężczyzna, w kapeluszu z szerokim rondem, który wkrótce po aresztowaniu pana był u pana w mieszkaniu?

- Nie znam nikogo takiego - Kłamie pan! Przedstawił się gospodyni pana jako pański krewny i prosił o pozwolenie poszukania czegoś w pana rzeczach, może w celu znalezienia jakiegoś korzystnego dla pana dowodu.

- Powtarzam, że taki pan, jakiego pan sędzia opisuje, nie jest moim krewnym.

- No, jak pan chce. Może pan prowadzić dalej swoją niemądrą taktykę. Ale ostrzegam pana. Sam pan najgorzej na tym wyjdzie, gdy będę miał w ręku wszystkie pana zeznania i wszystkie dowody przeciw panu.

- Czy pan mnie ma za Żółtą Różę?!

- wykrzyknął przeraźliwie Bravianu.

- Jeżeli pan nią nie jest, jest pan w porozumieniu.

Także komisarz Chevalier jest tego zdania.

\* \* \*

Viriwan siedział w swoim apartamencie przy porannej kawie, gdy mu oznajmiono, że jakiś pan, nie chcący podać nazwiska, pragnie z nim mówić.

Jeśli ten pan nie weźmie mi za złe mego neglizgu, niech wejdzie - odpowiedział Viriwan.

Gościem był Rul.

- Ach! - zawołał uprzejmie Viriwan - teraz jestem przekonany, że jest pan człowiekiem dobrze wychowanym. Jest bowiem obowiązkiem grzeczności oddać wizytę.

- Całkiem słusznie. Mogłem oczywiście postąpić jak pan i

wykorzystać do tego pana nieobecność, ale postanowiłem trzymać się kodeksu towarzyskiego.

Viriwan poprosił go siadać i podał mu cygaro, które Rul zapalił.

- Co pana sprowadziło do mnie, panie Rul?

- Chciałem poznać powód wczorajszych odwiedzin pana.

- Miałem już wczoraj sposobność powiedzieć panu, że w klubie adwokackim zrobił pan na mnie wrażenie, a jeśli dodam skromnie, że jestem psychoanalitykiem i zajmuję się studiowaniem typów moich współpracowników, to pojmie pan chyba, że odwiedziłem pana z powodów, że tak powiem, naukowych, dla zrobienia małej psychologicznej analizy.

Zresztą - ciągnął powoli Viriwan - rozczarowałem się. Proszę nie brać mi tego za złe. Pan jest człowiekiem, ale żadną indywidualnością. Bez dzisiejszej wizyty, zapomniałbym wkrótce o istnieniu pana.

- Niech mi pan powie - przerwał nagle Rul. - Wszak pan odwiedzał dom zmarłej świeżo pani Winjet, prawda?

- O tak, był to jeden z najwytworniejszych i najbardziej interesujących salonów Paryża. A pan, panie Rul przyszedł tu dlatego, aby wśród nic nie znaczącej rozmowy ze mną, wydobyć czy wiem o tym, że i pan był tam owego wieczora? Tak, wiem o tym.

Rul stropił się i unikał zimnego, przenikliwego wzroku Viriwana.

- Wygląda pan na jasnowidzącego - rzekł, uśmiechając się z przymusem.

- Może, czemu nie? Jasnowidz nie jest niczym innym, jak

logicznie myślącym człowiekiem. Widocznie ma pan ważny powód w tym, by tak postępować, jakby pan tam wówczas nie był. Ale nie wiem, czy się to panu uda. Tego bowiem wieczoru był pan w salonie pani Winjet krótko i znikł pan tajemniczo. Może nie zauważono pana w tłumie. Jednak podkreślam raz jeszcze, że widziano pana tam, panie Rul - A zatem?

- Nic więcej. Nie jestem policją kryminalną. Nie zależy mi na tym. A teraz nie weźmie mi pan za złe, że się ubiorę w jego obecności. Mam bowiem za pół godziny ważną konferencję.

- Przy tych słowach zrzucił Viriwan jedwabny szlafrok i ubierał się bez ceremonii.

Rul siedział nieporuszony w krześle, obserwując go. Bielizna i części ubrania Viriwana były nie tylko w najlepszym guście, ale miały jakieś specjalne właściwości. Kamizelka na przykład była ciekawie wycięta, podkreślając doskonale wytworność gorsu, marynarka była specjalnie dobrze wcięta w pasie. Tym dziwniejszą wydała się Rulowi krawatka pana Viriwana. Była już na stałe związana i przyczepiana za uszko do guziczka przy kołnierzyku jak u starszych panów, którym wiązanie krawata sprawia zbyt wiele kłopotu.

Viriwan pochwycił w lustrze ironiczny uśmiech.

- Pan się śmieje z mojej krawatki - podchwycił, nie obracając się. - Tak, każdy ma swoje właściwości. Zresztą - ciągnął dalej, szcietkując starannie włosy - każdy mężczyzna nosi taką pętlę na szyi. Cha, cha, pętlę! - roześmiał się głośno. Był gotów.

- Nie pogniewa się pan, jeśli teraz pana wyproszę. Jestem zresztą



zawsze do dyspozycji.

- Ja także. - Obaj panowie opuścili hotel i pożegnali się na ulicy.

\* \* \*

Komisarz Chevalier zdziwił się mocno, gdy do jego pokoju wszedł Viriwan, którego poznał dopiero wczoraj.

- Co za zaszczyt - powitał go, ściskając gościowi dłoń.

- Z pewnością moje odwiedziny zaskoczyły pana.

Ale ponieważ właśnie wczoraj mówiliśmy o Żółtej róży, uważałem za swój obowiązek podać panu kilka ważnych spostrzeżeń na ten temat.

- Bardzo to pięknie z pana strony.

- Jedynie z obowiązku. Lecz zanim powiem panu cośkolwiek, musi mnie pan zapewnić, że nikt się nie dowie o moich dzisiejszych odwiedzinach, a poza tym stawiam warunek, aby moje imię nie było wspomniane ani w badaniach śledczych, ani w sądzie. Laury zostawiam panu. Z pewnością zrozumie pan, dlaczego życzę sobie tej dyskrecji. Moje zajęcia naukowe nie pozwalają mi na mieszanie w nie kryminalistyki.

- Zapewniam pana, że nikt się nie dowie.

Viriwan usiadł naprzeciw komisarza.

- Czy nie zastanowił pana ten jegomość, który wyrwał się wczoraj tak nagle?

- W klubie adwokackim?

- Tak jest.

- Oczywiście. Natrafia się na wielu krytyków na każdym kroku,

ale rozwiązania zagadki Żółtej róży żaden by się nie podjął.

- Przypuszczam. Jednak w sposobie bycia tego pana jest coś zagadkowego, co mnie jako psychoanalityka poważnie zastanowiło. Zabawiłem się ubiegłej nocy w detektywa. Mianowicie odwiedziłem go późnym wieczorem.

- Pan? - zawołał zdumiony Chevalier.

- Tak. Ten człowiek mi się nie podobał. Był bardzo zdziwiony, gdy mnie zastał u siebie, jakkolwiek nie włamałem się, ale wszedłem przez otwarte drzwi.

Niestety nie dowiedziałem się niczego nowego w tej sprawie z wyjątkiem szczegółowego adresu pani Winjet.

Wówczas przypomniałem sobie, że rzeczywiście widziałem go u pani Winjet w ów wieczór pełen następstw. Co prawda tylko chwileczkę. Zniknął nagle. Obecni nie umieli mi nic o nim powiedzieć, nie znali go. Także nie udało mi się dojść, kto właściwie posłał mu zaproszenie. Zapytana o to nieboszczka pani Winjet zaprzeczyła kategorycznie. Zdziwiłem się, zobaczywszy dziś rano u siebie tego pana, który się nazywa Frank Rul. Wskutek mojej nieoczekiwanej wizyty zbudziło się w nim podejrzenie, nie umiał sobie wytłumaczyć jej przyczyny, gdyż podałem mu jedynie cele naukowe. Spędził z pewnością bezsenną noc, a dziś rano ciągnęło go do mnie, chciał bowiem zbadać jak wielkie jest dla niego niebezpieczeństwo. Przyjąłem go oczywiście bardzo uprzejmie, ale postanowiłem zaraz udać się do pana, tym bardziej, że powiadomiłem go o tym, że wiem o jego bytności na wieczorze u pani Winjet.

Wprowadziłem go tym w wielkie zakłopotanie.

Oto wszystko, co chciałem panu powiedzieć, niewiele, ale...

- W każdym razie - przerwał mu komisarz - wszystko jest cenne, panie Viriwan, dziękuję panu.

Viriwan wstał.

- Nie będzie mnie obchodziło co pan dalej z tym zrobi. - Po czym opuścił pokój.

\* \* \*

W godzinę po bytności Viriwana policjant zameldował Chevalierowi jakąś damę, chcącą natychmiast z nim mówić.

- Prosić!

- Panie komisarzu - zaczęła, ledwo wszedłszy.

- Czytałam właśnie w Petit Parisien sprawozdanie z morderstwa i przesłuchania, dotyczącego pani Winjet.

Donoszą w nim, że w ręce policji wpadł list, w którym proszą aresztowanego Bravianu o przewiezienie skradzionych kosztowności do Asyżu.

- Tak, zgadza się.

- Czy mogę zobaczyć ten list?

- Jakie prawo ma pani do tego?

- Prawo człowieka, który chce służyć sprawiedliwości.

- Takiemu żądaniu trudno odmówić. Czy może pani dać jakieś wyjaśnienia w tej sprawie?

- Chciałabym najpierw zobaczyć ten list, panie komisarzu - powtórzyła dama z uporem.

Chevalier podał jej list. Wzięła go niecierpliwie, przebiegła szybko nieliczne wiersze i na chwilę przymknęła oczy.

- Czy pani może niedobrze?

- Nie, nie, dlaczego pan przypuszcza? To pismo jest mi najzupełniej nieznane. Myślałam, że może...

- Co pani myślała?

- Nic panie komisarzu, pomyliłam się.

- Z kim mam przyjemność?

- O, to nic ważnego, tym bardziej, że nie mogę panu nic wyjaśnić.

Pożegnała go zmieszana i wyszła.

Chevalier widział, jak wsiadała do taksówki. Gdy usiadł przy swoim biurku, zapomniał już o nic nie znaczącej wizycie. Od czasu zjawienia się w Paryżu Żółtej róży jego kancelaria była celem prawdziwych wędrówek narodów. Przewijali się przez nią ludzie wszelkich pokrojów, gdyż nagroda dwudziestu tysięcy franków, wyznaczona przez policję za wykrycie mordercy, nasuwała każdemu myśl, że jest urodzonym detektywem.

Viriwan opuścił bar nocny, gdzie był stałym gościem, i wsiadł do swej eleganckiej granatowej limuzyny. I dopiero teraz, gdy oparł się na poduszkach, zauważył obok siebie postać drobnego mężczyzny o czarnych włosach i kapeluszu z szerokim rondem.

Viriwan chciał już kazać szoferowi zatrzymać auto, gdy nieznajomy chwycił i zatrzymał jego rękę zimnymi, kościstymi palcami.

- Chwileczkę, panie Viriwan - rzekł - proszę się nie bać, nie zrobię panu nic złego.

- Jakim cudem wszedł pan tutaj?

- Zupełnie tak jak pan, tylko przez przeciwległe drzwi. Nie jest to nic trudnego, gdy szofer śpi.

- Czego pan sobie życzy?

- Chcę zadać panu tylko jedno pytanie, ogromnie dla mnie ważne.

- Wybacz pan - wykrzyknął oburzony Viriwan. - Nie ma pan żadnego prawa zadawać mi pytań. Kim pan jest?

- Ja? Jestem cieniem sprawiedliwości. Po co panu moje nazwisko, gdy siedzę sam przed panem!

- O co chce pan pytać?!

- W jakim celu był pan poprzedniej nocy u Franka Rula?

- Skąd pan wie o tym?

- Ja wiem wszystko.

- Ale co mogą obchodzić pana moje sprawy osobiste?!

- Widzę, że pan nie chce mi powiedzieć. No dobrze. Proszę się zatem dowiedzieć, że poprzedniej nocy pan i Frank Rul byliście najszczęśliwymi ludźmi w Paryżu.

- Jak mam to rozumieć?

Zamiast odpowiedzi tajemniczy człowieczek zapukał w szybkę do szofera, kazał stanąć i wyskoczył.

Stojąc już na ulicy zawołał w głąb ciemnego auta: - Byliście szczęśliwi, gdyż obaj zostaliście przy życiu.

Potem ze złośliwym uśmiechem zatrzęsął drzwiczki i zniknął w czarnej bocznej uliczce. Przy świetle gazowej latarni wyglądał w swej szerokiej pelerynie jak ogromny nietoperz.

\* \* \*

Skoro Rul powrócił do hotelu, zastał list z Angli.

Napisany był na maszynie i brzmiał:

Jeżeli do trzech dni nie otrzymam od pana wiadomości, to proszę się bawić w Paryżu na własną rękę.

Pink Zdusił arkusz i wrzucił do kosza. Potem siadłszy przy biurku i zapaliwszy fajkę, pogрузzył się w myślach.

Ciekawe - dumał - właściwie ten Viriwan ma rację. Każdy nosi pętlę na szyi. W dawnych czasach posyłali sułtani popadłym w niełaskę dworzanom jedwabny sznur, na którym mieli jak najprędzej się powiesić. My nosimy stale taki sznur na szyi...

Usiadł przed lustrem, zdjął kołnierzyk, owiązał sobie krawat wokół obnażonej szyi i z całej siły począł go ciaśniej i ciaśniej zaciągać. Krew uderzyła mu do głowy, oczy wystąpiły z orbit. W tej chwili ktoś zapukał. Rozpuścił krawat i otworzył. Do pokoju wszedł Chevalier w towarzystwie dwóch policjantów.

- Aresztuję pana - rzekł Chevalier, kładąc mu dłoń na ramieniu. - Nareszcie mam tego pana z krótką fajeczką, który w ostatnim tygodniu życia pana Livarie'ego odwiedzał ciągle jego biuro! Przyjrzał się fajce, leżącej na popielniczce. Nagle zauważył krawatkę na obnażonej szyi Rula. Rozjaśniło mu się w głowie:

- Urządza sobie pan eksperymenty, co? Trenuje pan w dzień na

własnej szyi, jak trzeba w nocy dusić ofiary. Koniec zabawy, panie Rul. Żółta róża przekwitła!

- Proszę mnie połączyć z poselstwem angielskim.

- To stary kawał panie Rul. Skinął na policjanta, który założył mu na ręce kajdanki.

- Odpowie pan ciężko za tę chwilę - krzyknął Rul, któremu krew uderzyła do głowy.

- Dobrze, dobrze - rzekł spokojnie Chevalier.

A potem do swoich ludzi: - Odprowadzić go!

\* \* \*

W godzinę później cały Paryż rozbrzmiewał głosami ulicznych sprzedawców gazet: - Najnowsza sensacja! Żółta róża, Frank Rul, aresztowany!

\* \* \*

Służący profesora Balboni'ego, kierownika największego szpitala psychiatrycznego w Rzymie, doręczył swemu panu pilną depezę:

Proszę o odwrotną wiadomość czy Stefan Staroschwili znajduje się jeszcze w pańskim zakładzie.

Jeśli nie, kiedy wypuszczony.

Paryż, hotel Chattam.

Po godzinie siecią drutów biegła przez miasta, pola i lasy odpowiedź:

Stefan Staroschwili wypuszczony szesnastego lutego ubiegłego roku.

\* \* \*

Południowe słońce paliło niemiłosiernie. Widocznie postanowiło osiedlić się na ziemi. Palmy i oliwki stały bez ruchu na upale, rzucając krótkie czarne cienie na spieczoną ziemię. Wokół panowała niesamowita cisza.

Rozlegało się tylko czasem żalosne ćwierkanie ptaka, brzmiące skargą i smutkiem.

Drogą deptał równo znudzony osioł, na którym kołysała się ciężka sylwetka mężczyzny. Miał na sobie białe ubranie i kapelusz panamę z dużym rondem, rzucający niebieskawy cień na twarz. Obok kroczył poganiacz, oparty ręką na siodle i spalony na ciemny brąz.

- No, cóż Paolo, wszystko po staremu?

- zapytał pan siedzący na ośle.

- Tak panie.

- Co porabia ojciec Antoni?

- Dobrze mu się powodzi, signor.

Zapanowało długie milczenie.

- Kiedy byłeś tam po raz ostatni Paolo?

- Przed dwoma tygodniami panie. Byłem przewodnikiem pewnego Anglika.

- Aha, Anglika - rzekł z roztargnieniem jeździec.

- Nie ma chyba takiej dziury na Ziemi, gdzie by Anglik nie wściubił swego nosa. Kiedy twoje wesele, Paolo? - przeszedł nagle na inny temat.

- Już niedługo, tej jesieni.



- Aha, tej jesieni. Pewnie jesteś bardzo zakochany w narzeczonej?

- Bardzo panie! Ale jest godna mojej miłości.

- Cha, cha... godna! Nie ma godnej kobiety Paolo. I godnej miłości nie ma także. Kobieta ma tysiąc dusz, a w każdej potrafi pomieścić jednego mężczyznę.

Kobiety są podobne do królewskiego tygrysa: można go podziwiać, tylko nie dotykać, nie głaskać...

Oczy jego rzucały niesamowite błyski.

Poganiacz nie odpowiedział. Nie bardzo rozumiał, co mówił pan. Był zresztą przyzwyczajony do jego dziwactw. Prowadził go już nieraz z Asyżu na Monte Subasio do owej małej pustelni, przylepionej jak gniazdo do skał.

- Czy signor nigdy nie kochał kobiety? - zapytał przewodnik po długim namyśle.

- Głupcze! Kto nie kochał kobiet, nie miałby powodu ich nienawidzić.

I znowu między nimi zapadło milczenie.

- Czy pan długo zostanie na Monte Subasio?

- Nie zadawaj niepotrzebnych pytań, zapamiętaj sobie.

\* \* \*

Po kilku godzinach pukał Paolo do drewnianej furty pustelni. Gdy się otwarła, stanął w niej słuszny chudy Franciszkanin o twarzy suchej i żółtej jak pergamin.

Jedynie oczy płonęły tajemnym młodzieńczym blaskiem. Skoro

dojrzał podróżnika w białym odzieniu, złożył ręce na piersiach i skłonił się ze czcią.

- Witam pana w imię Boga.

- Dzień dobry ojciec Antoni! Czy wszystko dobrze?

- Tak jest, wszystko w największym porządku.

Podróżny zsiadł ciężko z osła i wszedł na dziedziniec. Jedwabną chustką otarł spoconą twarz.

Tymczasem Paolo przyniósł wody dla siebie i osła.

- Ojciec, proszę zabrać moje rzeczy - zawołał przybyły do mnicha.

Franciszkanin odczepił chętnie od siodła dwa skórzane kufereczki i wniósł je do domu. Przybysz szedł za nim.

- Ojciec - rzekł, gdy już zostali sami - są prawa na Ziemi, których ty nigdy nie pojdziesz. Może pamiętasz jak ci opowiadałem, że w tym samym momencie, w którym rodzi się człowiek, zaczyna gdzieś na ziemi rosnać drzewo, a w chwili kiedy człowiek umiera, z drzewa tego robią trumnę. I choćby człowiek i drzewo rośli w innych częściach świata, losy, sprowadzą ich do siebie.

- Co pan chce przez to powiedzieć? - spytał ojciec Antoni.

- Chcę powiedzieć, że moje drzewo teraz dopiero rosnać zaczyna i że jeszcze wiele lat upłynie, nim mi z niego ludzie zrobią trumnę. - Z ust jego wydarł się głośny, nerwowy śmiech wdzierający się jak przykry dysonans w ciszę tej sadyby. Twarz przybrała wyraz męczeński, w oczach płonął ból jak u postrzelonego zwierzęcia... Usiadł i przeciągnął dłonią po czole.

- Nie ojciec Antoni, nie zrozumiesz mnie nigdy.

Nikt mnie nie zrozumie.

Wstał, zmęczonym krokiem przeszedł dziedziniec, otworzył kluczykiem małą celkę i zniknął w niej.

Ojciec Antoni stał długo, rozmyślając.

\* \* \*

Przed wytwornym hotelem Olivier zatrzymało się auto. Dama opuściła welon na twarz i weszła do halu.

- Chciałabym pomówić z właścicielem w bardzo pilnej sprawie - powiedziała do zgrabnego boya w czerwieni.

Po chwili zjawił się starszy pan.

- Czym mogę pani służyć?

- Może pan zechce przyjąć mnie w kancelari, nie mogę się narażać na podsłuchiwanie.

- Proszę bardzo - rzeki uprzejmie, wskazując na drzwi biura z głębokim ukłonem.

- Proszę przede wszystkim o najściślejszą dyskrecję.

- Skoro pani sobie tego życzy.

- Absolutnie. O powodach dowie się pan wkrótce. A teraz proszę mi powiedzieć: czy mieszka w pańskim hotelu pan Viriwan?

- Tak, ale wyjechał przed dwoma dniami.

- Dokąd? - spytała rozczarowana.

- Bardzo mi przykro, ale pan Viriwan nie wtajemnicza nas nigdy w swoje sprawy.

- Powiedział pan nigdy. Czy mieszka tu często?

Czy dużo podróżuje?

- Tak. Pan Viriwan zajmuje u nas już blisko rok apartament na trzecim piętrze.

- Czy zatrzymuje pokoje gdy wyjeżdża?

- Tak.

- A jak długo jeździ zwykle?

- Rozmaicie. Ale zwykle nie dłużej jak miesiąc.

Czy wolno spytać z kim mam zaszczyt?

- Tak. - Zamiast odpowiedzi wydobyła z kieszeni papier i podała mu. Przeczytał uważnie i przyjrzał się z ciekawością swemu vis-à-vis.

- Bardzo mi miło. Czym mogę zatem służyć?

- Proszę mnie zaprowadzić do apartamentów pana Viriwana.

Maitre d'Hotel namyślał się.

- A jeśli pan Viriwan zauważy po powrocie?

- Nie zauważy, gdyż już nie wróci - rzekła z naciskiem.

- Nie zrozumiałem dobrze, jak pani mówi?

- Że nie wróci już nigdy, powtórzyła głośniej.

- Hm, to szczególne.

- Tak, bardzo szczególne.

Weszli do windy, po czym poprowadził ją do pokoi Viriwana. Szła wolnym krokiem, nie dotykając niczego.

Uważnym wzrokiem badała tylko poszczególne przedmioty. Skoro obejrzała dokładnie pierwszy pokój, skierowała się do sypialni.

Przede wszystkim uderzył jej oczy portret w wąskich złotych ramach, wiszący nad łóżkiem.

Studiowała go długo w milczeniu.

-

Zna pan tę osobę?

- spytała oprowadzającego.

- Nie, proszę pani, wiem tylko, że pan Viriwan bardzo lubi ten obraz.

- Z czego pan to wnosi?

- Przyniósł go własnoręcznie, nim jeszcze przywieziono jego rzeczy.

- Czy opowiadał panu kiedy o tej damie?

- Nie, wiem tylko, że nie żyje.

- Nie żyje? - szepnęła do siebie zdumiona.

- Tak, a w dniu jej śmierci, ozdabia portret kwiatami.

- Wie pan może, który to dzień?

- Piętnasty kwietnia, proszę pani.

- Piętnasty kwietnia - powtórzyła cicho. - Jakimi kwiatami ozdabia ten obraz?

- O ile się nie mylę... żółtymi różami.

Stała długo, oparta o poręcz łóżka, dopóki ruch jej towarzysza nie ocknął jej z zadumy. Zbudziła się i zerwała, jakby z ciężkiego snu.

- Dziękuję panu bardzo - rzuciła szybko. I nie czekając na windę, zeszła wolno po schodach.

\* \* \*

Gaby van Lind wróciła zupełnie załamana z hotelu, zamieszkiwanego przez Viriwana. Siadła w krześle przy oknie i

przymknęła oczy. Całe życie wydawało jej się w tej chwili ponurym snem. Portret wiszący nad łóżkiem Viriwana przedstawiał ją... Z jaką radością byłaby zdarła go ze ściany, niestety to było niemożliwe. Dziś albo jutro fotografia tego portretu mogła dostać się do gazet, a potem? Na samą myśl zimny dreszcz przebiegł ją po krzyżach. Otworzyła oczy. Przed nią stał mały człowieczek w pelerynie, który swego czasu przysiadł się do jej stolika w knajpie Coeur de Jeanette.

Gaby zerwała się. Przypomniała sobie, że w torebce ma rewolwer i chciała sięgnąć po niego. Ale nieproszony gość zmusił ją, by usiadła na powrót.

- Często i mądra kobieta robi głupstwa. Wiem, że pani chciała wydobyć rewolwer. Jestem przekonany, że rewolwer w ręku histeryczki może spowodować więcej nieszczęścia niż armata na wojnie. Kto wie tak dobrze, jak pani i ja, że spotkanie z policją, a zwłaszcza z komisarzem Chevalierem, jest mocno niepożądane, niech się zachowuje spokojnie.

- Czego pan chce? Żądam, by pan natychmiast opuścił mój pokój.

- Ależ zapewniam panią, że to nie takie proste, jak się pani wydaje. Jeżeli pani zmusi mnie do wyjścia, to na pewno nie omieszkam wziąć pani z sobą.

Gaby aż zbladła z gniewu, na próżno usiłując go stłumić.

- Czego pan chce właściwie ode mnie - pytam raz jeszcze?

- Chciałbym wiedzieć, po co pani chodziła do pokoi pana Viriwana.

- Nic panu do tego, rozumie pan? Jakim prawem napada mnie pan już po raz drugi? Uprzedzam pana, że może to mieć smutne dla niego następstwa!

- Nie wierzę - odpowiedział spokojnie.

- Przeciwnie. Tylko pani może to zaszkodzić, jeżeli ludzie dowiedzą się, że w nieobecności Viriwana przeszukiwała pani jego mieszkanie.

Gaby wahała się chwilę, wreszcie rzekła: - Jestem bardzo dobrze z panem Viriwanem i mam specjalne prawa...

- Pani nie mówi prawdy. Prawo przeszukiwania mieszkania w nieobecności właściciela mają tylko władze.

Miała ochotę rzucić się na niego. Nie wiedziała nawet, kto stoi przed nią. Poza tym ten nieznajomy miał najzupełniejszą rację. Unikala rzeczywiście spotkania z policją. Toteż postanowiła pohamować jak najusilniej swoje oburzenie. Nadała twarzy wyraz lekkiej kokieteri i powiedziała: - Kobiecie nie zawsze jest przyjemnie odpowiadać na wszystkie pytania. Ale skoro pan już taki ciekaw, powierzę panu małą tajemnicę, jednak nie z przymusu, tylko żeby pana uspokoić. Spędziłam kiedyś u pana Viriwana wolną godzinkę i zostawiłam na stole małe złote etui. Ponieważ była to cenna dla mnie pamiątka, więc odebrałam je dzisiaj. Mam nadzieję, że pan już zadowolony, nieprawda?

- Czy to wszystko? - zapytał rozczarowany nieznajomy.

- Wszystko - odrzekła Gaby.

Przeszedł się kilka razy po pokoju, potem zatrzymał się przed

nią: - Uwierzyłbym może w bajeczkę pani, gdybym nie wiedział dokładnie, że pani jest w przyjaźni z tym panem z krótką fajeczką.

- Ach, i tego pan zna? - zapytała Gaby z przymuszonym uśmiechem. - Proszę go zatem serdecznie pozdrowić ode mnie, gdy go pan spotka.

- Tylko pozdrowić?

- Cóż jeszcze?

- Myślałem, że podać także żółtą różę - rzekł mały człowieczek z naciskiem. Potem uklonił się po aktorsku i wyszedł.

\* \* \*

Czarna Marion, zatrudniona w tym samym kabarecie co Julia, nienawidziła swojej koleżanki, jak tylko kobieta potrafi nienawidzić rywalki. Skoro wyczytała w porannej gazecie o przygodzie tajemniczej pary w banku Aliance w Marsyli i o poszukiwaniach policji ich śladów, klasnęła w ręce z radości.

Poprzednią noc spędziła z kierownikiem przedsiębiorstwa Pawłem, któremu od dłuższego czasu starała się obrzydzić Julię podstępem i przebiegłością. I podczas czułego tête-à-tête zwierzyła się mu, że Julia wyjeżdżała na kilka dni do Marsyli.

- To ona, ona była w Aliance! - śpiewała Marion w rytm piosenki i kręciła się, tańcząc po pokoju z gazetą w ręce. Potem ubrała najlepsze futro i jeden z najefektowniejszych kapeluszy i ciesząc się z cudzej szkody, udała się do komendy policji.

Komisarz Chevalier, znający dobrze wszystkie kobiety nocnego Paryża, przyjął ją jak starą znajomą: - O, Czarna Marion! Cóż



srowadza piękną panienkę o tak wczesnej porze na policję, kiedy wszystkie nocne kobiety spoczywają w objęciach Morfeusza?

Przeświadczona o ważności swojej misji, Marion wyjęła najspokojniej lusterko i ogromną puderniczkę i wkrótce otoczyła się obłokiem pudru. Wreszcie rzekła: - Sensacja, panie komisarzu. Jutro będzie o mnie mówił cały Paryż. Rozwiązałam tajemniczą zagadkę.

- Pani, Marion? Dotychczas wiedziałem tylko, że umie pani wyjawiać czyjeś tajemnice, ale rozwiązywanie przez panią tajemniczych zagadek jest dla mnie nowością.

- Tym razem jest tak. - Z godnością, wyciągnęła dziennik z kieszeni i położyła przed nim na stole.

- Wiem, kim była ta kobieta w żałobie, która usiłowała z owym panem podjąć pieniądze w banku Aliance w Marsyli.

- Jak to, wie pani? Marion, jeśli to prawda...

- Tak, prawda - przerwała mu. - Jest nią nasza Julia z Cabaret Intime. O panie komisarzu, gdyby pan wiedział, co to za kobieta ta Julia! Powiadam panu, zupełnie bez serca. Ona potrafi za sto franków odstąpić przyjaciela pierwszej lepszej. Jest przebiegła i fałszywa jak wąż. Na przykład w zeszłym roku...

- Chwileczkę! - przerwał potok jej słów, które płynęły przepojone nienawiścią. - O charakterze koleżanki pani pomówimy później. Najpierw chciałbym wiedzieć, skąd pani posiada te wiadomości.

- Powiedział mi to nasz przedsiębiorca, Paweł. Z pewnością zna go pan, panie komisarzu. Mały z uroczym czarnym wąsikiem. Jaki

pocieszny! - chichotała Marion. - Na plecach ma ogromne znamię.

Akurat na plecach, panie komisarzu, tak że nigdy sam dojrzeć nie może. Proszę mi wierzyć, gdyby jakaś energiczna kobieta wzięła go w ręce...

- Dosyć Marion! - rozgniewał się Chevalier, zostawmy tymczasem znamię pana Pawła. Wrócimy do tego przy okazji. Gdzie mieszka Julia.

Marion wydobyła adres i położyła na stole papier.

- Powiadam panu, panie komisarzu, proszę się tylko nie bać tej czarownicy. Drapie jak kocica, to prawda. Miałam raz z nią starcie, to tak mnie urządziła, że przez cały tydzień nie mogłam się nikomu pokazać na oczy. A żeby pan widział jak wygląda jej przyjaciel Jan!

Jak pokreślona mapa. Jego plecy są pełne ran z zadrapania. Tylko proszę się nie bać tego drapania.

Połaskotana staje się bezbronna. Musi pan zaraz łaskotać...

- Dziękuję pani za radę. Już ja ją połaskoczę! - uspakajał Chevalier. - A teraz proszę mi powiedzieć czy widziała pani tego jegomościa, który ją zabrał w podróż?

- Nie widziałam go, tylko Paweł.

- Dobrze, a gdzie siedzi ten Paweł?

- W barze. On tam mieszka.

- Dziękuję pani, Marion. Może pani być przekonana, że jeżeli jej zeznania okażą się zgodne z prawdą, nie zapomnę o pani.

Marion wstała, przypudrowała znowu nos i brodę i wyszła, kołysząc biodrami. Lecz zawróciła raz jeszcze.

- Ale proszę nie zapomnieć panie komisarzu. Jak tylko Julia zacznie drapać...

-...połaskoczę ją - dokończył komisarz. Może pani być pewna, że to będzie dzisiaj moje główne zajęcie.

Kierownik Paweł nie był zachwycony, zobaczywszy odznakę detektywa. Z pewnością Marion nabroiła coś, przeleciało mu przez głowę. Oto co wynika z tego, jeśli zaufa się kobietom. I ze wściekłością ścisnął pięść w kieszeni...

- Proszę mi powiedzieć panie Pawle, czy widział pan tego jegomościa, który zabrał Julię w podróż do Marsyli?

- O ile dyskretne oświetlenie separatki pozwalało na to.

- Proszę mi go opisać.

- Bardzo słuszny, szeroki w ramionach, oczy ciemne, twarz silnie opalona, rozdział z lewej strony.

- Czy przychodził do was częściej?

- Wówczas był pierwszy raz.

- I od tej pory nie widział go pan?

- Nie, nigdy.

- Jak długo zna pan Julię - Pracuje u nas od sześciu miesięcy.

- Zdaje się, że jest pan zaprzyjaźniony z Julią, czy tak? - zapytał Chevalier na chybił trafił.

Zażenowany uśmiech Pawła potwierdził, że się nie omylił.

- Nie mogę powiedzieć, żebyśmy się nie lubili.

- Co może mi pan powiedzieć o życiu prywatnym Juli? Czy jest zdolna do jakiejś podejrzaney awantury lub zbrodni?

- Nie, panie komisarzu - rzekł Paweł z przekonaniem. - Któż z ubogich tancerek nie byłaby gotowa odbyć za pięćset franków pięknej podróży w sleepingu pierwszej klasy?

- Ma pan rację - przyznał Chevalier - na takich warunkach i ja wyjechałbym chętnie w podróż.

Nie jest wykluczone, że będę pana jeszcze potrzebował. Proszę nie zapominać, że za ważne doniesienia w tej sprawie wyznaczyła policja dobre wynagrodzenie. Jeśli pan przyłapie tego jegomościa, będzie pan chyba wiedział, co z nim zrobić. Do widzenia.

\* \* \*

Tancerka Julia obudziła się w dziwnym nastroju.

Nie rozumiała zupełnie tej podróży do Marsyli.

Towarzysz jej w ciągu całej podróży nie wszedł nawet do jej przedziału. Także w hotelu w Marsyli nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. Przypominała sobie potem tę szczególną maskaradę z żalobą, wizytę w Banku Aliance i nagłe znikanie. Nie wiedziała dotychczas, czego właściwie chcieli od niej i jaką rolę odegrała w tej całej aferze.

- Zresztą - tłumaczyła sobie - powinno mi to być obojętne. Co mnie to wszystko obchodzi? - Zapaliła papierosa. Ktoś zapukał do drzwi, była to gospodyni.

- Panno Julio, policja kryminalna!

- Co? Do mnie? - Rzuciła płonącego papierosa, zerwała się z siedzenia i skoczyła do szafy, by się ubrać.

Lecz Chevalier stał już w drzwiach.

- Ależ panie! Widzi pan przecież, że jestem w negliżu - rzuciła

wchodzącemu.

- Och, mówi pani jakby pani nie pokazywała się co wieczoru w dużo większym negliżu - rzekł, siadając na kanapce.

Julia usiadła. Zęby jej szczękały z zimna i ze strachu. Twarz była blada, pokryta czerwonymi plamkami.

- Czego pan chce ode mnie - zapytała, usiłując się opanować.

- Co robiła pani przed dwoma dniami o pierwszej w nocy na dworcu i poco jeździła pani z owym panem do Marsyli?

- Ja?... doprawdy sama nie wiem. Nie wiem - powtórzyła i rozplakała się gorzko.

- Zajmująca historia! Jedzie pani z jakimś panem do Marsyli, idzie z nim w ciężkiej żałobie do banku, po niewydaniu pieniędzy zwiewa pani z nim - a po dwóch dniach już o niczym nie wie. No Julio, gadać mi tu, bo będzie źle!

- Przysięgam, że nie znam tego pana.

- Dobrze, ale w banku Aliance była pani?

- Tak.

- W jakiej sprawie?

- W żadnej. Ten pan prosił mnie, żeby pójść z nim.

- A ta żałoba?

- Tak sobie życzył.

- Gdzie znajduje się ten pan?

- Pojęcia nie mam. Zapłacił mi w Marsyli moje honorarium, wręczył mi bilet i od tej pory nie widziałam go więcej.

- Czy poznałaby go pani, gdybym go przyprowadził?

- Oczywiście.
- Doskonale, a zatem proszę się ubrać i iść ze mną.
- Dlaczego?
- Jest pani aresztowana.

Tancerka zaczęła szlochać histerycznie.

- Julio, proszę pamiętać, że łyzy kobiece nie robią na mnie żadnego wrażenia. Choćby pani krzyczała jeszcze głośniejsze i tak musi pani pojechać. Przyznaję, że jazda na policję nie jest tak miła jak do Marsyli, zwłaszcza, że nie mogę ofiarować pani sleepingu i pięciuset franków. Ale gdy tancerka robi interesy uboczne, kończy się to zwykle jazdą na policję.

Po tych słowach podał jej płaszcz i poprowadził do auta.

\* \* \*

- Czy zna pani tego pana? - zapytał Chevalier, wprowadzając Julię do pokoju Bravianu.

- Nie, widzę go po raz pierwszy.
- No, a tego?

Rul, którego pokazano Juli, zaśmiał się pogardliwie:

- Z pewnością zna mnie pani, panno Julio. Wszak byliśmy razem w Marsyli, nieprawdaż? Spędziliśmy piękną noc w wozie sypialnym. Może pani pamięta, że piliśmy szampana na zdrowie pana Chevalier?

- Proszę się uspokoić - przerwał komisarz. - Widocznie pan zapomina, że jest podejrzany i aresztowany.

Potem do Juli:

- Jeszcze raz pytam panią: zna pani tego pana czy nie?

- Tak jak teraz wygląda, nie - odpowiedziała z wahaniem.

- Co pani chce przez to powiedzieć?

- Że to nie jest ten pan, który był u nas w Cabaret Intime i który mnie zaprosił do Marsyli. Mogę to twierdzić z całą pewnością. Tamten, który próbował ze mną w banku Aliance...

- No, no - zachęcał Chevalier.

- Tamten w banku miał brodę, ale ciągle mi się zdawało, że nie była prawdziwa.

- Aha? - wykrzyknął uradowany Chevalier. - Dalej Julio, to wszystko jest bardzo interesujące.

- Poza tym widziałam tego pana bardzo mało.

Ciągle miałam wrażenie, że chce ukryć przede mną swój wygląd. Wszak tylko parę minut byliśmy razem.

Pokazał mi miejsce w pociągu i poszedł do swego przedziału. W Marsyli zawiózł mnie do hotelu i zniknął znowu. Potem przyszedł po mnie, by razem pójść do banku. Więcej nie widziałam go na oczy.

- Czy wzrost, głos i wygląd zewnętrzny tego pana, który tu stoi, zgadza się mniej więcej z tamtym z Marsyli?

- Wzrost? Mógłby się zgadzać. O głosie tamtego pana trudno mi coś dokładniejszego powiedzieć, gdyż prawie nie mówił do mnie.

- A zatem - rzekł Chevalier zadowolony i zapalił cygaro.

- Panie komisarzu - przerwał Rul - z pewnością pan ustalił, że w tych właśnie dniach marsyjskich znajdowałem się tu w hotelu.

- To stary kawał, mój drogi panie. Zostawia się za siebie kogoś, kto zatrzymuje się w hotelu. Taki pan dzwoni często na służbę, żeby

mieć potem świadków, że był w pokoju. Ile razy ktoś wchodzi, jest dziwnym zbiegiem okoliczności zajęty ubieraniem i rozmawia tylko przez drzwi. Niech się pan nie boi panie Rul, już ja wiem dlaczego pana aresztowałem. Mam przeciw panu i Bravianu więcej dowodów, niż potrzebuję, brak mi tylko paru nici w tej sprawie. Wówczas udowodnię panu najdrobniejsze szczegóły.

- Proszę jednak nie zapominać panie komisarzu, ile człowiek popełnia głupstw i błędów, nim wolno mu godnie sprawować swój urząd! - odpowiedział Rul z kłującą ironią.

- Odprowadzić go! - wykrzyknął Chevalier z wściekłością, i z taką pasją uderzył pięścią w stół, że zatańczyły na nim wszystkie przedmioty.

\* \* \*

- Czy pani po raz pierwszy we Włoszech?

- Nie, byłam już kilka razy. Czy prowadzicie często turystów na Monte Subasio?

- W ostatnich czasach rzadko. Czasy są tak ciężkie! - westchnął przewodnik. - Tamten przewodnik Paolo ma szczęście...

- Jak to?

- Wozi zawsze bogatego pana do pustelni i za każdym razem dostaje tyle, ile każdy z nas zarobi przez pół roku.

- Co robi ten pan tak często na Monte Subasio?

- Tego nie wiem, signora, nikt tego nie wie.

Opowiadają, że jest bardzo pobożny i przyjeżdża tu do ojca Antoniego modlić się. I teraz jest tutaj, choć tego nie wie się nigdy



dokładnie.

- Dlaczego?

- Gdyż signor znika często i wraca do wielkiego świata.

Zmęczona żarem słonecznym dama kiwała się w siodle. Nie spuszczała wzroku z Monte Subasio.

Prawdopodobnie nie miała ochoty prowadzić rozmowy z gadatliwym przewodnikiem. Nie udało mu się więcej wciągnąć jej w dyskusję.

- Stać! - rzekła nagle, gdy słońce miało zachodzić. - Możecie wracać, zostanę tutaj.

- Ależ pani zupełnie samotna na drodze?

- Proszę się o mnie nie troszczyć. Dostaniecie obiecaną zapłatę a napiwku też nie braknie. To mówiąc wsunęła w brązową dłoń przewodnika parę sztuk złota.

Potem zdjęła mały kuferek z siodła i opuściła zdumionego wraz z osłem.

\* \* \*

Gwiazdy błyszczały już na ciemnym firmamencie, gdy ojciec Antoni usłyszał ciche pukanie do furty. Stała przed nim obca dama w żałobie, wyglądająca w ciemnościach jak wcielenie smutku.

- Darujcie ojczyźnie, że macę wasz spokój - powiedziała łamaną włoszczyzną - zabłądziłam i proszę o schronienie na noc.

- Dokąd zdążasz córko?

- Do Asyżu ojczyźnie. Lecz jestem tak zmęczona błędzeniem, że nie mogę iść tak daleko po nocy. Złożę dar na ubogich - dodała na

wszelki wypadek.

- Wejdź córko - powiedział wychudły mnich uprzejmie i wprowadził ją do domu.

Może jesteś głodna? - Wskazał jej miejsce przy stole.

- Nie, dziękuję.

- Może zdejmiesz welon, córko?

- Nie ojcze. Złożyłam ślub na grobie zmarłego męża, że przez rok nie zdejmę welonu przed udaniem się na spoczynek. Słońce i gwiazdy oświecają moje pełne żałoby serce.

- Może chcesz, by za niego odprawić nabożeństwo?

- Tak, jutro.

Usiadł naprzeciw niej.

- Czy nie nudzisz się czcigodny ojcze w takiej ciszy?

- Nie, w ciszy czujemy się bliżsi Boga.

- Masz rację ojcze. Wielu ucieka z wielkiego świata w ciszę murów, by czynić pokutę.

- Tak, wielu.

Spojrzała przez okno na dziedziniec.

- Czy mieszkasz sam tutaj ojcze? Widzę bowiem światło w celi naprzeciwko.

- Zawsze sam. Dziś tylko udzieliłem schronienia pielgrzymowi, modli się jeszcze.

- Byłam tu przed kilku laty, lecz wówczas nie widziałam tej celi.

- Masz słuszość córko. Istnieje dopiero od roku.

- A dla kogo jest przeznaczona?

- Dla ludzi, którzy się zagubili w ciemnościach nocy - odpowiedział, spuszczać ze smutkiem oczy.

-...którzy się zagubili w ciemnościach nocy - powtórzyła machinalnie. - A teraz ojciec chciałabym pójść na spoczynek.

Zaprowadził ją do celi, życzył dobrej nocy i udał się jeszcze do małej kaplicy. Wśród czarnej nocy błyskała tylko jego lampka oliwna.

Dama, zostawszy samotnie, zasunęła rygiel, zrzuciła żałobne szaty i przebrała się w krótką suknię sportową.

Potem opatrzyła w ciemności rewolwer i położyła się na łóżko.

Leżała długo z szeroko otwartymi oczami. Cisza koła jej wzburzone nerwy. Słyszała jak ojciec Antoni wracał z kaplicy, a lekkie jego kroki zgrzytały na żwirze dziedzińca. Udał się na spoczynek. Nastąpiła nocna cisza.

Poczekwała jeszcze czas jakiś, potem wstała, opuściła swoje schronienie i sunąc jak cień popod dom, przemknęła do przeciwległej celi. Próbowała zajrzeć w małe okienko, ale było zasłonięte. Z bijącym sercem nacisnęła klamkę, drzwi otwarły się bez szelestu. Jak cień przemknęła przez korytarz pogrążony w ciemności.

Z leżącej przy nim celi padał skośny pas światła. Na niezwykle widok, jaki przedstawił się jej oczom, ledwie zdołała powstrzymać okrzyk. Podłoga celi pokryta była żółtymi różami. Nad małym ołtarzykiem, obitym czerwonym jedwabiem, wisiał obraz tej samej kobiety co w hotelu w Paryżu, tylko w naturalnej wielkości.

Szeroka rama wysadzana była drogimi kamieniami. W dwóch stojących po bokach wysokich lichtarzach paliły się grube świece,

migocące w drogich kamieniach setkami iskier. Przed ołtarzem z twarzą ukrytą w dłoniach leżał mnich, bosy, przewiązany zgrzebnym sznurem.

Głosem przerywanym przez łkanie powtarzał jedno imię: Gaby. Potem było cicho. Podniósł się, a fantastycznej wielkości jego cień odbił się na ścianie.

Długo stał nieporuszony przed portretem. Potem roześmiał się głośno. Był to straszny śmiech. Po krzyżach kobiety przeleciał zimny dreszcz.

- Posłałaś mi na pożegnanie żółte róże. Dobrze!

Teraz staną się dla wielu wróżbą nieszczęścia. Nie tylko dla ciebie... Duszę, rabuję, włóczę się jak mściwy zbrodniarz po świecie i zabijam w twoim imieniu, Gaby.

Przeklinam cię i kocham cię jeszcze. Popatrz.

Wszystkie ofiary giną przez ciebie, cały łup znoszę tobie. Zdobie cię klejnotami i nawiozę ci jeszcze dużo więcej...

- Stefanie!

Umilkł i odwrócił się gwałtownie. Dzikim wzrokiem wpatrywał się jak upiór w stojącą w drzwiach piękną kobietę. Nagle poznał ją i krzyknął jakimś przeraźliwym, obcym głosem: - Gaby!

Wyciągnął do niej ręce, postąpił kilka kroków i runął do jej stóp.

\* \* \*

Gdy się obudził, leżał w łóżku. Przez małe okienko wdzierał się świt. Przy łóżku siedziała Gaby, blada po nieprzespanej nocy. Nieco dalej ojciec Antoni z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Viriwan

przymknął na powrót oczy, jakby bojąc się spłoszyć piękny sen.

Lecz po chwili gorączkowe spojrzenie spoczęło znowu na twarzy pięknej kobiety.

- Gaby - szeptał cicho. - Gaby, czy to wszystko prawda?

- Tak Stefanie.

- I ty wróciłaś do mnie?

- Tak, Stefanie.

- Bez żółtych róż? Czy nie przyślesz mi ich już na pożegnanie?

- Nie, Stefanie, przyjechałam, żeby cię zabrać.

Jedziemy stąd.

Teraz uwierzył jej. Odrzucił przykrycie.

- Jedźmy, jedźmy daleko! - krzyczał przeraźliwie - daleko od tego wszystkiego. Cud się stał, ona powróciła! O, siedzi tutaj, Bóg wysłuchał moich modlitw!

Nagle umilkł, położył się trwożnie i przykrył na powrót.

- A moje grzechy? Moje straszne zbrodnie? Tyle ich popełniłem!

- Kto ich nie popełnia, Stefanie? Wszyscy jesteśmy grzeszni - mówiła Gaby uspokajająco, gładząc delikatnie jego blade czoło, złane potem.

\* \* \*

Siedzieli w pospiesznym pociągu, zdążającym do Rzymu. Viriwan nie wypuszczał jej dłoni ze swojej i szczęśliwego, gorączkowego spojrzenia nie mógł oderwać od jej twarzy. Od czasu do czasu śmiał się tak dziko i gwałtownie, że jadący z nimi pasażerowie zrywali się ze strachem.

- Pojadę z tobą daleko, daleko! Bez żółtych róż.

I ścisnął namiętnie jej ręce.

Przybywszy do Rzymu, Gaby wychyliła się z okna i skinęła ledwo widocznym poruszeniem głowy. Czterech ludzi wkroczyło do przedziału i zbliżyło się do Viriwana.

Rozpoznał natychmiast odznaki zakładu, w którym siedział już raz, i rozpaczliwie uczepił się Gaby.

- Gaby, Gaby, nie opuszczaj mnie! Oni mnie chcą zabrać!

Nie miał czasu mówić więcej. Przybyli ujęli go mocno pod ramiona i wyprowadzili. Jeszcze długo słyszała Gaby, jak wołał ją po imieniu - i dwie wielkie łzy, ostatnie nad nieszczęśliwym Viriwanem spłynęły po jej białych policzkach.

\* \* \*

Z ulgą opuściła Gaby przedział. Przechodząc koło wystawy dzienników, spostrzegła olbrzymie bijące w oczy napisy:

Postrach Paryża, „Żółta róża”, Frank Rul aresztowany!

Porwała jedną gazetę i pobiegła do urzędu ruchu.

- Kiedy odlatuje aeroplan do Paryża? - krzyknęła już z daleka zawiadowcy stacji.

- Za czterdzieści pięć minut.

Opuściła pośpiesznie dworzec i wskoczyła do taksówki.

- Na lotnisko! Prędko!

Gdy wielki ptak wzbił się nad wiecznym miastem, nie mogła się powstrzymać od śmiechu: Biedny Frank!

Potem przymknęła oczy, wyobrażając sobie jego duże siwe

oczy, energiczną twarz i ciemne, błyszczące włosy, spadające na pięknie sklepione czoło. I po raz pierwszy odkąd go znała, uczuła upartą, gwałtowną tęsknotę za nim.

\* \* \*

Komisarz Chevalier siedział w kancelarii w nastroju świątecznym. Cała prasa sławiła go i wynosiła pod niebiosa.

Porównywano go z największymi detektywami świata, a naczelnik policji Pioret zapowiedział mu dzisiaj, że może się spodziewać awansu.

- Panie Chevalier - przerwał dyżurny jego dobrze zasłużony odpoczynek, jakaś dama pragnie natychmiast mówić z panem.

- Z pewnością znowu jakaś zwariowana zbieraczka autografów. Boże, już jedenasta dzisiaj! - odpowiedział niezadowolony, nie wiedząc, że instynktownie poprawia krawatę.

- Nie wiem, panie komisarzu, dama jest silnie wzburzona.

- Prosić!

Do pokoju komisarza wpadła piękna młoda osoba w płaszczu podróżnym.

- Panie Chevalier - zawołała zamiast powitania.

Wpakował się pan niemożliwie!

- Jak mam to rozumieć?

- Trzyma pan w więzieniu dwóch zupełnie niewinnych ludzi: Franka Rula i rzeźbiarza Bravianu.

- Ależ proszę pani...

- Ja także proszę o uwolnienie tych dwóch panów - przerwała -

ponieważ Żółta róża znajduje się chwilowo w zakładzie dla obłąkanych w Rzymie pod nadzorem profesora Balboni'ego. Oto moja legitymacja. Jestem detektywem policji kryminalnej w Amsterdamie, Gaby van Lind. Złapałam Żółtą różę w Asyżu. Jest to pan Viriwan. Sprowadzenie go z Włoch to już pańska rzecz.

Chevalier zbladł i patrzył ze zdumieniem na Gaby.

- Viriwan? Viriwan to Żółta róża? Niemożliwe!

- A jednak tak jest - odrzekła energicznie Gaby. - Frank Rul zaś, którego pan aresztował, jest urzędnikiem Scotland Yardu i przybył incognito do Paryża, celem porachunków z Żółtą różą za jego zbrodnię w Angli.

- A Bravianu? - pytał trwożnie już Chevalier. - Wszak dostałem list...

- Bravianu nie ma w ogóle z tą sprawą nic wspólnego. A list, o którym pan mówi, miałam już w rękach.

- Pani?

- Tak jest. Pan sam dawał mi go czytać. W tym pokoju, panie Chevalier! Nie poznał mnie pan dzisiaj.

Właśnie ten list skierował mnie na właściwy ślad.

Pismo, znane mi tak dobrze, było pismem Viriwana. A wzmianka o Asyżu wskazała mi, gdzie mam go szukać.

Znam bowiem jego słabostki. Sama byłam tam z nim przed dwoma laty.

- Pani z Viriwanem?

- Tak, gdy byłam jego narzeczoną. Nie mogłam znieść jego



dzikiej zazdrości i na pożegnanie piętnastego kwietnia posłałam mu te fatalne żółte róże.

Już wtedy był anormalny. Gdy go opuściłam, obłąd wzmógł się i musiano zabrać go do zakładu profesora Balboni'ego.

Przed rokiem jako zdrowego wypuszczono go, niestety za wcześnie. Teraz już pan wie wszystko.

Jak rażony piorunem i nagle postarzały siedział Chevalier w swym wygodnym fotelu. Jeszcze nigdy los nie wyplatał mu takiego figla.

\* \* \*

Bravianu tak był uradowany nieoczekiwaną wolnością, że zaczął jeszcze w więzieniu śpiewać głośno. Wychodząc, spotkał w korytarzu sędziego śledczego, który męczył go tak długo. Dumny w przeświadczeniu swojej niewinności, przeszedł obok niego bez pozdrowienia. Ale tamten chwycił go za ramię i zatrzymał.

- Gniewa się pan na mnie, prawda?

- Tak, bardzo.

- Rozumiem pana. Ale proszę mi wierzyć, że całe życie zadawać pytania jest o wiele ciężiej, niż raz w życiu na nie odpowiadać. A wobec tego, że jestem tak przyzwyczajony do stawiania pytań, nie mogę się opanować i chciałbym panu zadać jeszcze jedno.

- Co chce pan jeszcze o mnie wiedzieć? Zdaje mi się, że zaprotokołował pan nawet kiedy moja prababka straciła pierwszego zęba.

- Nie, tego nie wiem na pewno - odpowiedział sędzia całkiem

serio. - Ale jeśli by pan był tak grzeczny i zechciał mi powiedzieć, co znajdowało się w pakunku, z którym opuścił pan wilę pani Winjet, byłbym panu bardzo wdzięczny.

- Czy to prosta ciekawość ze strony pana czy sprawa urzędowa?

- Tym razem tylko ciekawość.

- No dobrze, więc powiem panu w zaufaniu. W pakunku tym znajdowały się moje piżamy, których potrzebowałem u pani Winjet...

I z głośnym śmiechem wybiegł.

\* \* \*

Frank Rul przechadzał się po długim korytarzu hotelowym, w którym Gaby wzięła pokój. Przebierała się właśnie i musiał czekać. Wreszcie usłyszał jej głos, który w ten słoneczny ranoek wydał mu się cudowną melodią. Wszedł do pokoju i długo, serdecznie ucałował jej rękę.

- Winszuję pani zwycięstwa, Gaby!

- Zwyciężyłam, gdyż nie udało się panu aresztować mnie owego wieczoru.

Nasze współzawodnictwo skończone. Widzi pan, że i kobiety mogą coś zdziałać.

- A jakim cudem znalazł się pani parasol w pokoju pana Livarie'ego? - spytał Rul.

- Całkiem po prostu. Po spotkaniu w Moulin Rouge odprowadzał mnie Livarie do hotelu.

Zapomniałam w taksówce parasola, więc wziął go z sobą. Biedak został tegoż wieczora zamordowany.

Jakże mógł mi go oddać? A kto telegrafował do Marsyli, aby nie wypłacano pieniędzy? - spytała z kolei.

- Ja naturalnie. Viriwanowi udało się wpłynąć na Livarie'ego, żeby przekazał cały swój majątek do Marsyli. Obliczenia jego były słuszne, gdyż o morderstwie dowiedziano się dopiero po zamknięciu banku i żeby nie mój telegram, wypłacono by mu na pewno te pieniądze.

- Więc pan Frank także coś zdziałał - rzekła pocieszająco.

- Dużo więcej cieszyłoby mnie co innego - rzekł, spuszczać oczy...

- A co? - spytała Gaby. Jej oczy śmiały się szelmowsko.

- Mieć panią za żonę.

- To uda ci się na pewno łatwiej, niż złapanie zbrodniarza.

I śliczne ciepłe ręce objęły jego szyję.

\* \* \*

Jeszcze tego samego wieczora siedzieli Frank i Gaby w PAVILON Armenovile, tym razem nie naprzeciw, ale blisko przytuleni do siebie.

- Wiesz, chciałabym rozwiązać jeszcze jedną zagadkę przed wyjazdem.

- Mianowicie?

- Jaką rolę odegrał w tym wszystkim człowiek w pelerynie?

- Cha, cha - zaśmiał się serdecznie Frank. - Rozwiązałem to, gdy byłem uwięziony. Pokazało się, że zna go i śmieje się z niego cały Paryż. Dostarcza materiału do pism humorystycznych. Biedak ma trochę źle w głowie. Uważa się za geniusza. Po każdej zbrodni

wplątuje się w zastawione sieci policji i powoduje niemożliwe zamieszanie.

Dziwnym trafem jest doskonale informowany. Jednak nigdy nie doprowadził żadnej sprawy do końca. Dziś udało mu się jak ślepej kurze ziarno. Opuszczając policję, wpadłem w jego ramiona i musiałem wybulić mu sto franków.

\* \* \*

Frank i Gaby wracali do domu w pierwszych promieniach słońca. Odesłali szofera i szli piechotą.

Zdawało im się, że pierwsi przechodnie, pogodne niebo i cały świat życzy im w ten ranek szczęścia.